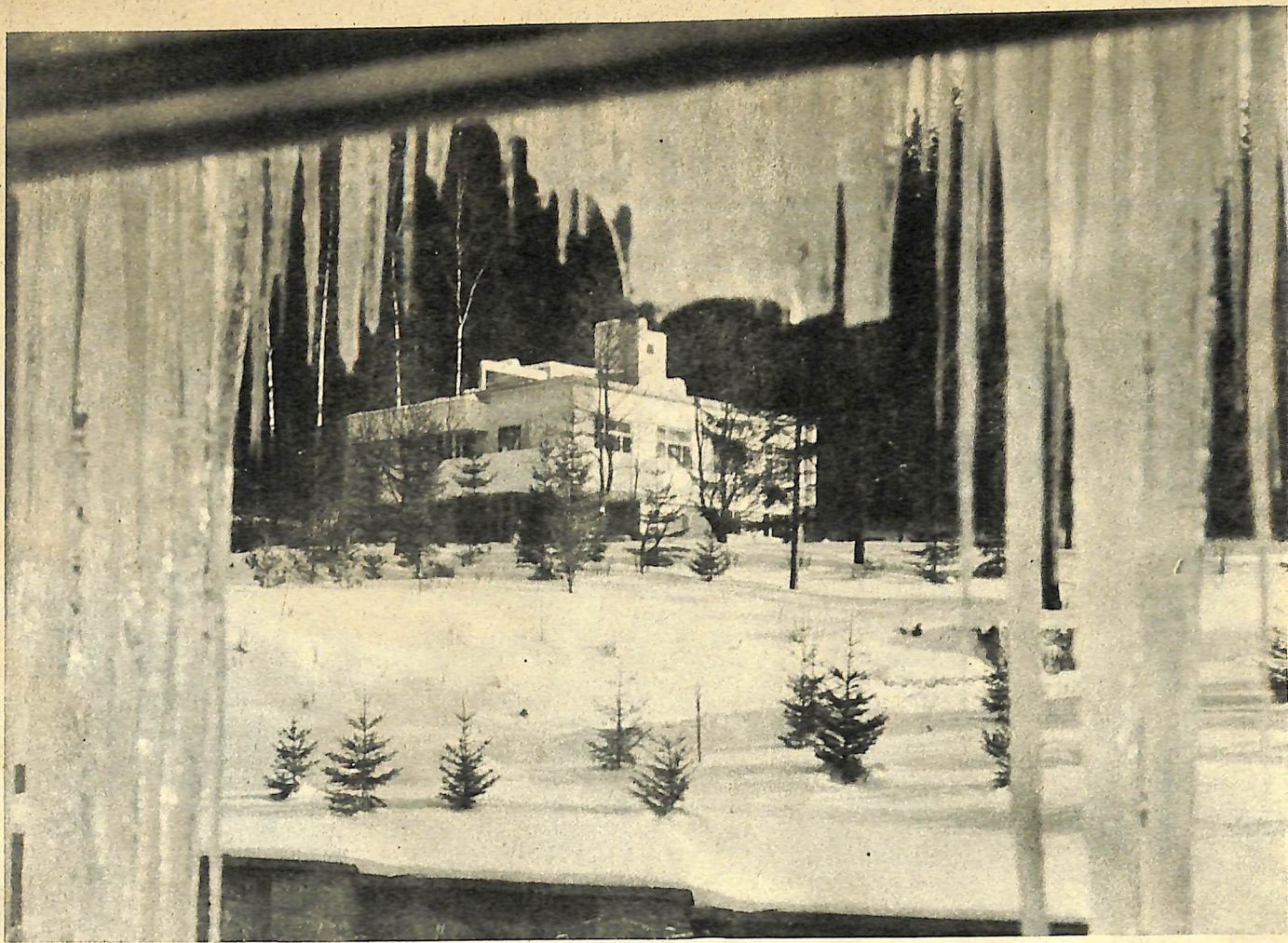
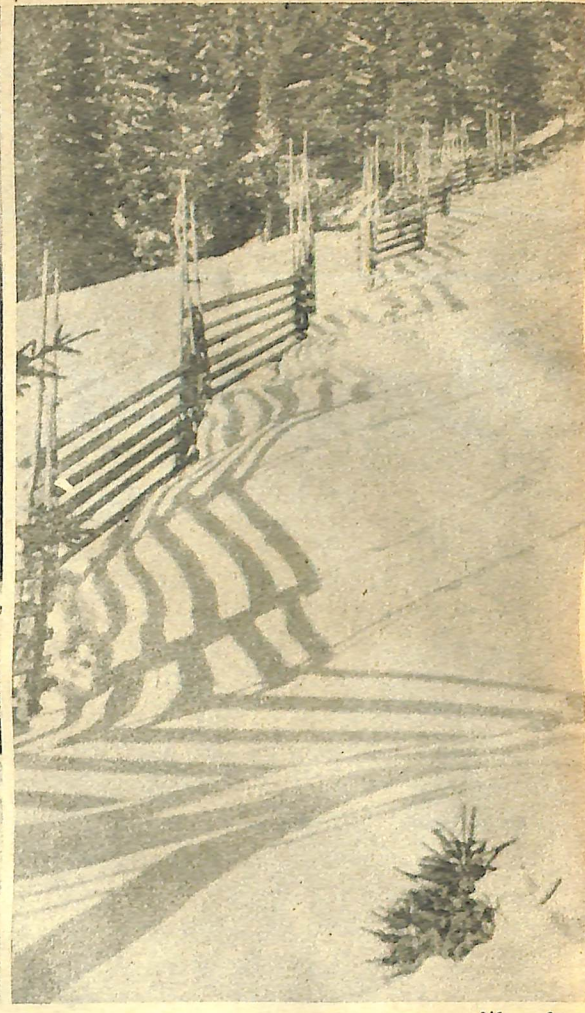




PARADA
NR 25/44/ 1944
BOŻE
NARODZENIE



Krynica



Worochta



Hala Gąsienicowa

BOŻE NARODZENIE 1944

*K*iedy żółtą tysiąć ściernisk pługi ciąć zaczęły na czarne szlaki potyskliwej ziemi, a jesień lasom rozrzućnie dawała swe barwy, kiedy pierwsze liście spadały z drzew, nabierała znowu życia, corocznie, myśl o gwiazdce. O białym śniegu i zielonej choince, o ciepłych oczach matki. O radości Bożego Narodzenia, dzielonej opłatkiem miłości i pieszczoty pomiędzy najbliższych, najdroższych. Choinka zbierała nas wszystkich, dużych i małych. Tą wspólną gwiazdką, w domu spędzaną, odliczało się lata. Pod rozłożystą choinką bawiliśmy się, już spokojni po wizycie gwiazdora, potem bawili się inni... Bo sęty lata, ubywali jedni, przybywali drudzy, gwiazdka jednak pozostawała ta sama, z pasterką i kołędą, wesotą kołędą. Wesotą święta rodziny... Można było szczerze składać życzenia: wesotych świąt.

Kiedy tamtą pamiętną na zawsze jesienią zamiast pługów wyszły czołgi na ścierniska polskie, wtedy spadły liście z drzewa, co wyrosły wolne. Wicher wzbierającej nawałnicy rozwiął je po świecie. Poniósł i rozniósł nas daleko, zbliżając — to znów oddalając od Kraju i w obcej grzebiąc ziemi. Od pięciu lat Święta Bożego Narodzenia spędzamy samotnie na dziwnie powtarzających się w historii drogach żołnierza polskiego. Przez pięć lat obchodzi je Kraj, co rok w sroższej niewoli i w cięższych warunkach.

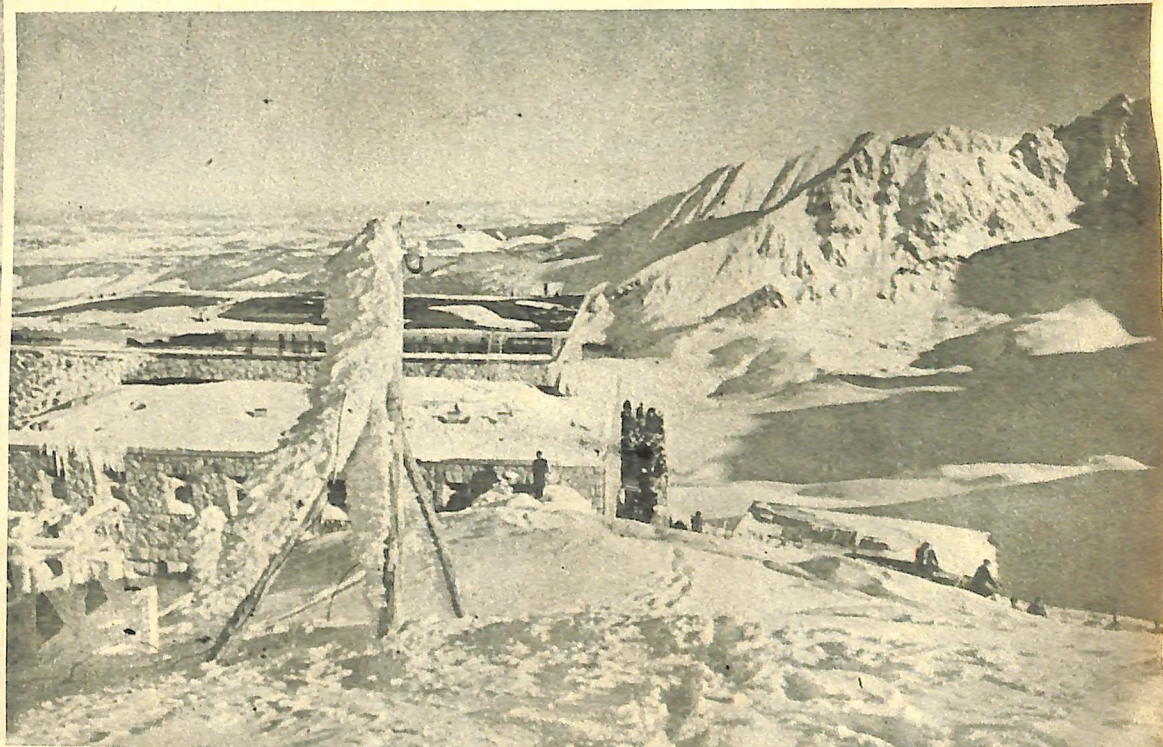
Pięć razy w tej wojnie łamaliśmy się opłatkiem, życząc sobie spędzenia następnych świąt w domu. Nadeszła szósta gwiazdka wojenna. Życzenia więznią w gardle... Warszawa, miasto ruin, jest martwa — po raz pierwszy w swojej historii, w szóstym roku wojennym. Choć jest już świt zwycięstwa, w stolicy Polski panuje noc. My jesteśmy jedynymi sojusznikami, dla których dom jest ciągle jeszcze tylko marzeniem, dla których i tegoroczne święta Bożego Narodzenia są bolesnym wspomnieniem.

Czy w takie właśnie święta możemy być spokojni? Tym pokojem, jaki spływać ma na ludzi dobrej woli? Zbyt wiele jest krzywdy, zbyt wiele grobów i tęsknota za wielką. I dlatego nie ma w nas — bo być nie może — żadnej radości z tego tradycyjnie zachowanego opłatka, wyszukanej gdzieś choinki i przygarniętych, najczęściej obcych dzieci. Jest jednak wiara, która może dziś ukryta, właśnie u żółbka stanie się najmocniejsza, oczywista.

Tylko ta wiara pozwala nam jeszcze myśleć o pozostałych w Kraju z nadzieją naszego powrotu. Tego przecież życzymy sobie wszyscy w dniu wigilijnym. Jest to życzenie wspólne, jednoczące nas wszystkich w jedną rodzinę, nas rozproszonych po świecie, oraz Ich w Kraju. Terminów nie wymieniamy, już ich nie czujemy. Ważymy tylko naszą krzywdę i nasze prawa, najstuszniejsze. I wierzymy... Noc wigilijna ma swój czar...

Niech znowu w Polsce zajaśnieją choinki, choćby na ruinach, i dzieci nasze — niech znowu będą mogły być dziećmi. Niechże i u nas rozśpiewa się i spełni narzeczcie kołędu — POKÓJ LUDZIOM DOBREJ WOLI.

t. s.



Widok z Kasprowego

Naprzód, ku nizinom Lombardii!

Korespondencja własna „Parady” — Witold Domański

Kolos niemiecki walczy jeszcze o życie. Chwyta się kurczowo ostatniego skrawka Apeninów. My nacieramy. Armie piąta i ósma otaczają półkolem wroga, który wije się i skręca pod żelaznym uściskiem. My zdwajamy wysiłek. Jeszcze Chioda, Trebbio, Castellaccio, a dopadniemy go na ubitej ziemi. O, wtedy popamięta!

Teren jest pocięty jarami, zbocza gór porasta szpilkowy las. Nad nacierającymi dywizjami otworzyła się listopadowa szaruga. Koła wozów lgną w lepkiem błocie. Front obecny łączy w sobie sumę przekleństw naszych poprzednich frontów. Jest błoto z nad Sangro, są muły i wspinaczka z Cassino, a wreszcie tempo i nieustanny wysiłek adriatyckiego pościgu. Wystarczy tego, aby żołnierz, który wyszedł na Trebbio i San Antonio i ogląda z góry nizinę lombardzką, gładką jak boisko piłki nożnej, odczuwał jedno potężne pragnienie: mieć te przekłete góry za sobą. Front już zastygł, kiedy Korpus przystąpił do akcji. Myśmy go zgalwanizowali. Niemcy muszą nas przeklinać z całego serca. Przewróciliśmy im taktykę walki do góry nogami. Wypracowali sobie system obrony dolin — my poszliśmy szczytami i cały system szlag trafił.

Walka toczy się na grzbietach i górskie ścieżki awansowały do rangi znakomitych arterij. Trzeba, żebyście posłuchali jak zgrzytają i płaczą resory wozów, pnących się po tych diabelskich wertepach, abyście zrozumieli, co to jest za front. Gdzie samochód i „karier” nie dotrze, wespnie się muł. Gdzie już i muł zawodzi, tam nie zawiodą nogi piechura.

Dywizja Karpacza prowadzi wojnę. Wojna nie jest szkołą miłosierdzia. Jest dziedziną skutecznego zastosowania siły. Im trudności wzrastają, tym ładunek wywołanej siły zmniejsza się. W tutejszych warunkach, aby dwie kompanie mogły zdobyć jakąś nieważną dla profana miejscowość, potrzeba, aby mechanizm wiel-



Na apenińskich drogach czołgi polskie niejednokrotnie oddawały sobie przyjacielskie usługi

kiej jednostki wy dobył z siebie najwyższą sprawność. Artyleria przez wiele godzin przygotowywać musi plan ogni, łącznie rozsnuwać pajęczynę sieci telefonicznych i radiostacyj, saperskie buldozery przetrasować drogi, służba transportowa dowieźć żołnierzowi w głąszy górskiej, w plusze jesiennej żywność, wodę i amunicję.

Ale pozycja została zdobyta, zgiełk bitywny, ranni i zabici są już za nami i nowe zadania stawia nam życie. Gotu-

jemy natarcie na następny przedmiot... Chciałbym, żeby z tych słów wyrzała do was naga rzeczywistość tego frontu. Chciałbym, żebyście mogli popatrzeć na rynek w Rocca San Casciano, gdzie dwa jadące naprzeciw siebie samochody stwarzają „korek” piekielnie trudny do ode-
tkania, jako że sznur wozów z jednej i drugiej strony powiększa się tak błyskawicznie, jak poziom wody w tutejszych rzekach po deszczu. Chciałbym, byście mogli zobaczyć syzyfową pracę saperów,

odwadniających za pomocą buldozerów i łopat drogi i objazdy z zaciągającej nieustannie wody. Chciałbym, byście zobaczyli ich przy stawianiu mostów Bailey'a na szczątkach filarów, wysadzonych w powietrze przez Niemców i byście schylili czoła przed tymi, którzy życiem przypłacili tę niebezpieczną pracę.

W dniu, kiedy spadł pierwszy w tym roku śnieg, padło Monte Trebbio. Natarcie rozpoczął pierwszy baon, atakując pozycję od wschodu. Zaraz po nim od-

Pan plutonowy po całonocnej jeździe drzemie...



W numerze:

BYŁEM NAD WARSZAWĄ — *Jadwiga Czechowiczówna*

ŁUDZIE POGRANICZA — *Tadeusz Pniński*

WIGILIA W RUTHBA — *Juliusz Mieroszewski*

PISZĘ SZOPKĘ — *Tadeusz Wittlin*

REPORTAŻE:

Ku nizinom Lombardii — *Witold Domański*

Zdobywamy Europę — *reportaż fotograficzny*

PRZEGLĄD PRASY

NASZA OKŁADKA



Szopka Krakowska

Rys.: Jerzy Młodnicki



Maskotka-pamiątnik

zachodu wyruszył do natarcia baon piąty. Niemcy bronili się z determinacją, ale w tym czasie baon trzeci sforsował stromy jar i wziął Trebbio od południa. Trzeci baon musiał wytrzymać przeciwuderzenie, które wyszło wkrótce potem. Obrońcy wytrzymali, Niemców kosztowało to kilkunastu zabitych. Po dwóch daremnych uderzeniach dali spokój.

Przez to zbliżyliśmy się nieco do Faenzy. Pochowaliśmy zabitych, ranni odesłani zostali na tyły, żołnierze zjedli zaległe o-biady, zgolili parodniowy zarost, przywdziali czystą bieliznę. Cypryjscy mulnicy, kradnący włoski drób na rachunek polskich żołnierzy, wymietli okolicę z kur i indyków. Artyleria uciułała sobie nową

Zwęglone zwłoki niemieckiego żołnierza

porcję amunicji. Najwyższy czas, aby pójść znów do przodu...

Po zdobyciu Gattone (później wrócimy jeszcze do tego epizodu), otworzyła się droga z Dovadoli na Montignano. Gdybyśmy mieli teraz trochę czołgów!... Te by im dały w kość!

Pobożne życzenie, ale jak je zrealizować? Jeep z trudem przedziera się przez przełęcz i serpentyny, a cóż dopiero brygada pancerna. Jedzie do nas już od kilku dni. Może wreszcie dotrze. Trzeba więc nacierać bez czołgów. Dziś w nocy ruszą znów trzy baony. Jedna oś natarcia prowadzi przez San Antonio, druga wschodnia — równoległe.

A oto i pierwsze wiadomości. Spływają

z eteru na białych kartkach meldunkowych, jak białe gołębie. Trzeci baon urządził na swym kierunku masakrę. Obrona była zajadła. Z otoczonego plutonu niemieckiego ocalał jeden człowiek, wzięty do niewoli. Baon piąty przeskoczył przez broniące się jeszcze gniazda oporu, pozostawiając „załatwienie” ich oddziałom drugiej linii, a sam poszedł chwycić następne przedmioty. Rozpęd nacierających kompanij wystarczył aż do San Antonio. Miejsce to widać dokładnie z punktu obserwacyjnego na Gattone. Widać kościół na wzgórzu i plebanię obok, widać też ogród, zielony gąszcz cyprysów i kasztanów. W kościele, choć tego nie widać, umiera co chwila jakiś człowiek. Zamknęła się tam cała kompania niemiecka. Bronią się zajadłe. Skądinąd wiemy jak to jest, żołnierze, którzy radziby się poddać, są terroryzowani przez oficerów. Pierścień wokoło kościoła zamknęła się lada chwila...

Pierwszych pięciu jeńców przyprowadzają na punkt obserwacyjny i zapominamy przez chwilę o walce. Gęby mają suchawe, miny butne. Dowódca nosi na szyi „Ritterkreuz”. Musi być wybitną szują. Jeden z jeńców zeznaje, że z kompanii na San Antonio, liczącej początkowo 65 żołnierzy pozostało jeszcze przy życiu trzydziestu. Położą więc nową hekatombę.

Myśliwce brytyjskie krążą jak sępy wy-

...żeby czołgi mogły przejść



patrujące żeru. Jeden ze Spitfire'ów dał nurka i pluje ze wszystkich luf. Aż kurz poszedł po całym San Antonio.

— Ktoś umarł — zauważył filozoficznie Józef Żywina.

Cała trudność przykładowego zombardowania San Antonio polega na tym, że obie strony są za blisko siebie. Trzeba by cofnąć się o jakieś 600 metrów, ale to wymagałoby zejścia z grzbietu. Spitfire, biorąc na siebie całe ryzyko, upatrzył sobie dokładnie cel i z matematyczną dokładnością ciachnął w dół. Widziałem ten moment przez wspanią, stokrotną lunetę Zeissa, zdobytą na Niemcach przez piąty baon. Było to widowisko, którego wam nigdy nie pokaże żadne kino. Zobaczyłem najpierw przez lunetę jak od Spitfire'a odrywa się bomba, następnie widziałem jak spada, potem widzę, jak trafia w dach plebanii, dach zapada się do środka, a cała góra spowija się w kurzu i dymie. Znowu ktoś umarł — ale była to już śmierć hurtowa...

Na wschodniej osi drugi baon nie może „wythuc dziury” w niemieckiej obronie. Porucznik Sacharewicz, wsławiony w pierwszej potyczce dywizji pod Alfadena, wyleciał na minie i nie żyje. Pocisk niemiecki, który trafił w dom, zabił dziewiciu żołnierzy. Inny pocisk uzyskał „volltreffera” w nasz punkt obserwacyjny. Zabity radiotelegrafista, żołnierz z obsługi, zniszczona radiostacja. Niemcy

bronią się z murowańców, rozsianych po zboczach. Mury są grube i moździerz nie mogą dać sobie rady z tym szelmostwem. Przyciągnięto więc czwórkami wołów „siedemnastki”. Murowańce przewracają się jak zabawki z kart. Jak zwykle, według recepty: jeden pocisk przebijający, jeden przeciwpancerny. Parę Spandau'ów przestało już szczebrać.

Nie myślcie, że żołnierz niszczy z upodobaniem. Zwłaszcza, kiedy chodzi o zabudowania. Nie odwołując się nawet do szlachetnych pobudek (staram się, o ile mogę, nie nadużywać ich w reportażach), proszę się tylko postawić w sytuacji człowieka, niszczącego swą ewentualną przyszłą kwaterę. W takiej na przykład plebanii na San Antonio jakby się znakomicie mieszkało...

Przez te odskoki rwie mi się tok opowiadania. Wolałbym być czytany potocznie. Trudność jednak tkwi w tym, że przeskoczyłem kilka godzin, walka na San Antonio wygasła i ostatni pretorianie Hitlera wstępują do Walhalli. My w tym czasie znaleźliśmy się na pobojowisku piątego batalionu z walki o Gattone. Było to już parę dni temu i deszcz zmył krew polską i niemiecką z włoskiej ziemi. Pozycje broni maszynowej i „sniperów” wybrane zostały znakomicie. Widok tej fachowej roboty niemieckiej zawsze podnosił mnie na duchu. Będziemy mieli znakomitą siłę roboczą do odbudowy zniszczeń wojennych w Polsce.

Stanowiska biegły wzdłuż drogi, nad szkarpą. My nacierałszy od wąwozu. Kąt nachylenia zbocza w tym miejscu sięgał 45 stopni. Patrząc na pole bitwy wierzyć się nie chce, że mogliśmy zdobyć te stanowiska. Kosztowało to nas kilku zabitych. Jeden poległ rażony serią ze Spandau'a, drugiemu znów granat, rzucony po stoku, eksplodował na hełmie stalowym. Wielu poranili strzelcy wyborowi.

Gattone zostało zdobyte. Nie wiem jak się nazywa celowniczy „Piatek”, któremu

dywizja zawdzięcza tak dużo w owej ciężkiej potyczce. Było to tak — należało rozbić niemieckie gniazdo broni maszynowej. Celowniczy, zawzięty Pomorzanie, upatrzył je sobie dawno, ale jak tu strzelać, kiedy za lada wychyleniem się Spandau wygarnia mu całą serię. Trzeba, żeby nacierający koledzy z plutonu wzięli na siebie ogień Spandau'a. Wiecie, jak trudno nawet takie proste działanie zaimprovizować na polu walki. Cały manewr udaje się jednak znakomicie i „Piatek” oddaje wreszcie upragniony strzał. Co za ścierwo! Pocisk trafia w

gniazdo i... nie wybucha. Pomorzanie jednak nie zrażają się łatwo. Zabieg trzeba powtórzyć. To się łatwo mówi, ale spróbujcie zrobić taką rzecz w zgiełku bitwy. Nacierający znowu odwracają uwagę Spandau'a i pada wreszcie strzał, tak brzemienisty w następstwie. Ze Spandau'em jest spokój raz na zawsze. Gniazdo, ludzie, broń — wszystko stano-

wi jedno zwalisko ziemi, splamionej krwią.

Tak padło Gattone, tak padło wiele innych stanowisk, o których milczą korespondencje wojenne.

Dobiega końca dzień trzynasty listopada w Dywizji Karpackiej. Zastaje nas u podnóża Castellacio, ostatniej przeszkody, jaka odgradza nas od Lombardii.

Kogut — maskotka czołgu

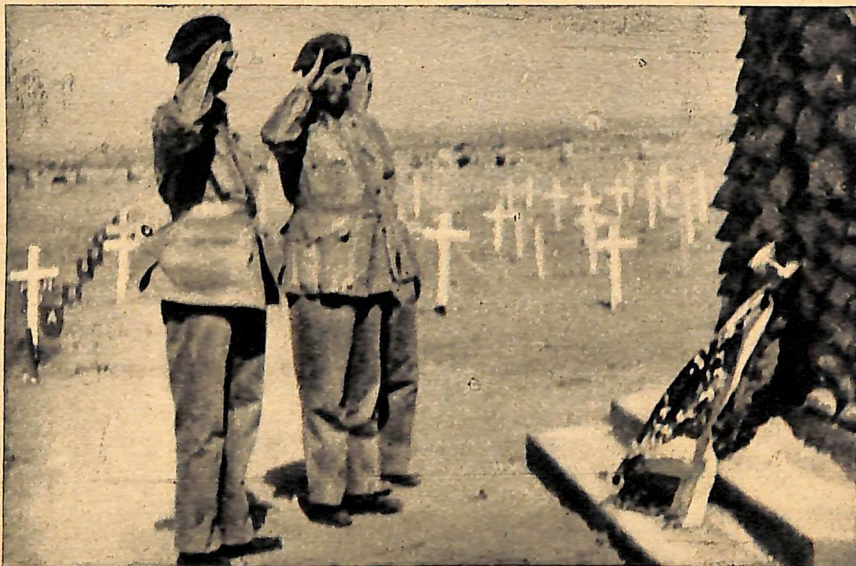
W pościgu za Niemcami. Polskie Shermany mijają malownicze miasteczko apenińskie



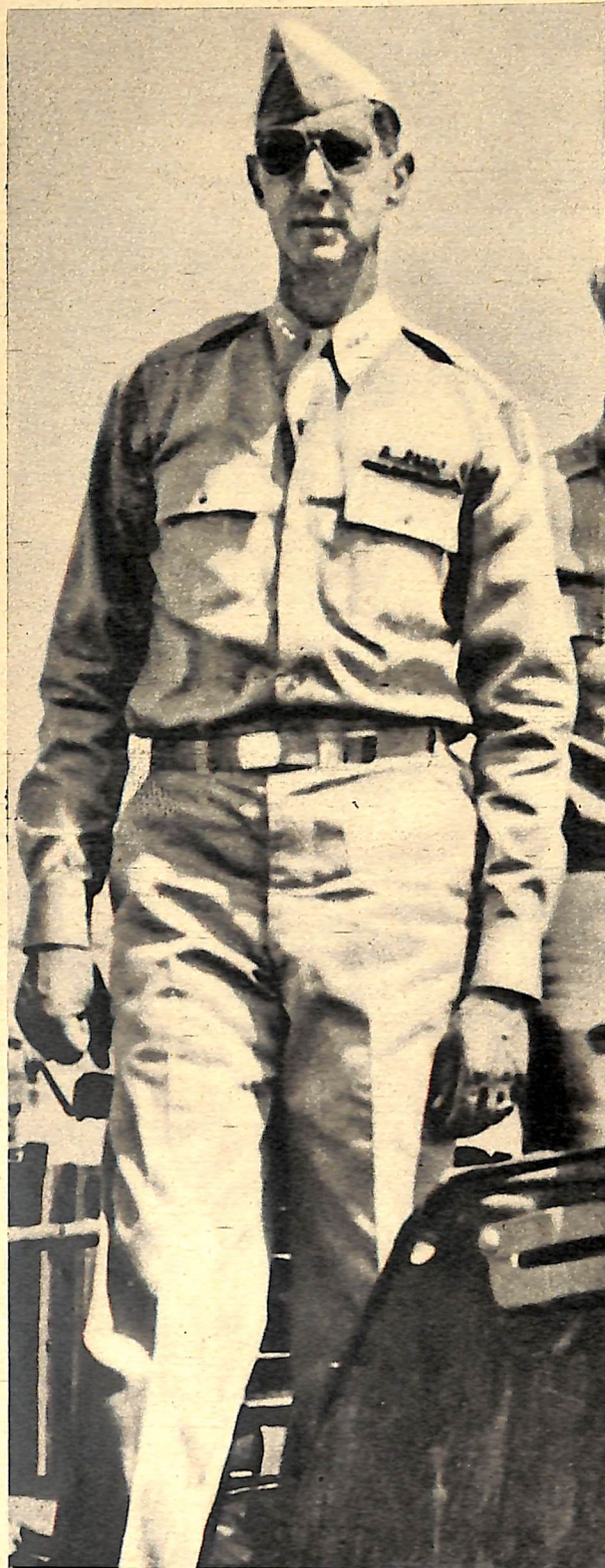
Częsty widok na drogach



W Dniu Zadusznym br. — podobnie jak w latach uprzednich — delegacja Dowódcy 3 Korpusu Imieniem Wojska Polskiego złożyła wieniec u stóp pomnika w Tobruku, czcząc pamięć polskich żołnierzy poległych na pustyni Libijskiej



MARZAŁEK SIR HAROLD ALEXANDER, dotychczasowy dowódca Wojsk Sprzymierzonych we Włoszech — objął stanowisko głównodowodzącego teatru wojennego Morza Śródziemnego. Z okresem, gdy Marszałek Sir H. Alexander był dowódcą Wojsk Sprzymierzonych we Włoszech — związane są najświetniejsze zwycięstwa 2 Korpusu Polskiego. Na zdjęciu — dokonanym w czasie wizyty Premiera Churchilla w 2 Korpusie — widzimy Marszałka Sir H. Alexandra w chwili powitania brytyjskich gości przez Dowódcę 2 Korpusu Gen. Dyw. Wł. Andersa.



GENERAL CLARK DOWÓDCA WOJSK SPRZYMIERZONYCH WE WŁOSZACH

MARK WAYNE CLARK, najmłodszy z amerykańskich generałów dywizji (lieutenant general), został obecnie dowódcą Wojsk Sprzymierzonych na froncie włoskim, na miejsce generała Sir Harolda Alexandra, który mianowany marszałkiem objął dowództwo nad operacjami całego obszaru Morza Śródziemnego. Generał Clark jest typowym generałem „liniowym”, tak go też nazywają — „front-line general” — jego żołnierze. Niemal zawsze znajduje się na wysuniętych pozycjach, osobiście kierując walką i świecąc przykładem. Piąta Armia jest jego armią. Szkolił ją we Włoszech i prowadził poprzez wszystkie walki, poczynając od ciężkiej bitwy pod Salerno. W inwazji Północnej Afryki w roku 1942 generał Clark odegrał rolę pierwszorzędną, jeszcze przed działaniami bojowymi. Łodzią podwodną udał się generał amerykański na teren afrykański i spotkał się tam z generałami francuskimi, zapewniając powodzenie przyszłej inwazji. Powrócił stamtąd również w łodzi podwodnej i w Anglii przedłożył raport generałowi Eisenhowerowi, który organizował wtedy wojska inwazyjne. Mark Wayne Clark brał udział w pierwszej wojnie światowej, był ranny i podczas ofensywy w Argonnach zdobył odznaczenie Purple Heart (Purpurowego Serca). Niedawno prezydent Roosevelt udekorował generała Clarka odznaczeniem Legion of Merit. Szczególny szacunek zyskał generał wśród swych oddziałów, kiedy osobiście uratował żołnierza brytyjskiego, wyciągając go z płonącego samochodu.

BYŁEM NAD WARSZAWĄ

O walce Armii Krajowej na ziemiach Polski mówi się i pisze wiele. Szczególnie w okresie tragicznego powstania w Warszawie, wszystkie niemal gazety zamieszczały wzmianki i artykuły o Polskiej Armii Podziemnej, najsilniejszej i najlepiej zorganizowanej ze wszystkich

na terenach państw okupowanych. Poza faktami podawanymi przez agencje prasowe pojawiały się również sprawozdania z działań wojennych i opisy aktów sabotażowych, które różnymi drogami dotarły z Kraju i były pisane przez uczestników walk. O wiele rzadziej udaje się zdobyć garść

szczegółów pochodzących z ust żołnierzy Wojsk Sprzymierzonych, którzy byli w Polsce i mówią o Armii Podziemnej raczej jako obserwatorzy, niż współdziałacze. Ci, z reguły w takich wypadkach, życie swoje i wolność zawdzięczają ludności polskiej, tym „civilians”, z którymi porozumiewali się na migi, którym zaufali, a teraz umieją ich ocenić niewątpliwie lepiej i głębiej, niż wielu wytrawnych polityków zarówno naszych jak i obcych.

Kair jest wielką stacją węzłową na szlaku wszystkich armii sprzymierzonych, a centrem Kairu jest niewątpliwie kawiarnia Gropiego. „People in khaki and blue” wszystkich narodowości stanowią tam zawsze większość publiczności, często też zdarza się, że do stolika Polaków przysiadają się Anglicy, Australijczycy lub Amerykanie na przyjacielską pogawędkę. Tym razem było tak samo, tylko zamiast zwykłego pozdrowienia padły słowa: „Niedawno byłem w Polsce”.

Oto opowiadanie lotnika brytyjskiego, który brał udział w lotach nad Warszawę: „Około dziewięciu tygodni temu leciałem po raz piąty w kierunku na Warszawę. W niewielkiej stosunkowo odległości od miasta, które z daleka mogłem poznać po chmurze gęstego dymu unoszącego się nad płonącymi domami, samolot mój został uszkodzony przez kilka pocisków artylerii plot. i począł spadać. Udało mi się wyskoczyć ze spadochronem. Pamiętam, że pode mną

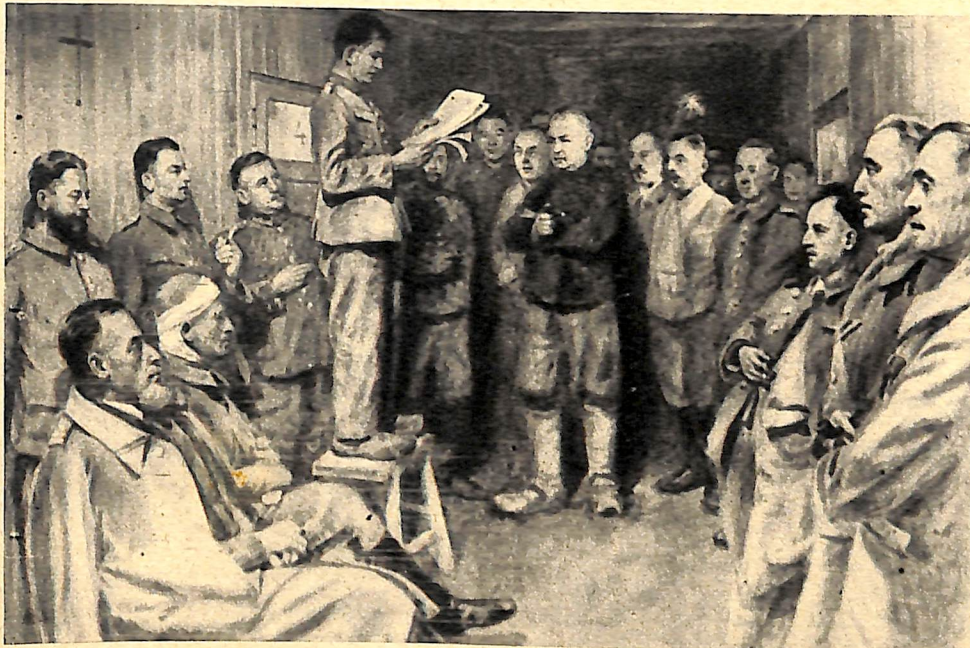
było pole, zauważyłem też kilka chałup i stogi siana. Zanim zdążyłem podnieść się z ziemi otoczyło mnie kilku mężczyzn i pociągnęło w kierunku pobliskiej szopy, jeden z nich zatkał mi usta ręką.

Byłem pewien, że są to Niemcy. Z tego co mówili zrozumiałem tylko jedno słowo podobne do „Polish”, myślałem, że wzięli mnie za polskiego lotnika. Wiedziałem, że grozi mi najwyżej niewola, podałem im imię, nazwisko i stopień wojskowy, dodając, że jestem lotnikiem brytyjskim. Nic z tego nie rozumieli, natomiast po chwili jakaś wiejska kobieta przyniosła mi mleko i miszkę kartofli.

Na migi kazali mi zdjąć mundur i przebrać się w cywilne ubranie, a gdy się wzbraniałem, zatkali mi usta i siłą przebrali mnie sami. Potem, nakazując mi wciąż milczenie, zawieźli mnie wozem do jakiegoś miasteczka. Na głównej ulicy, na drugim piętrze jakiegoś domu przyjęła mnie pani w żałobie, dała jeść, choć nie byłem głodny i próbowała mówić do mnie po francusku, ale nie znam tego języka, domyśliłem się tylko, że nikt nie miał wobec mnie wrogich zamiarów.

Wyglądałem przez okno, na ulicy widziałem wielu Niemców w mundurach SS i Gestapo. Dopiero wieczorem przyszedł młody człowiek, który łamaną angielszczyzną powiedział, że nie jestem w niewoli niemieckiej, lecz pod opieką Polskich Sił Zbrojnych w Kraju, o których słyszałem już poprzednio, ale zupełnie

Ostatnie wiadomości „Gazetki” obozowej. Rysował jeńiec R. Fryszowski



nie zdawałem sobie sprawy ze znaczenia tego wojska w cywilnych ubraniach.

Powiedział mi, że wrócę do mego oddziału, jeśli będę z całym zaufaniem i posłusznie spełniał wszystko, co mi każą, starając się nie zdradzać obcego pochodzenia.

Ktokolwiek po ciebie przyjdzie, czy to będzie mężczyzna, kobieta czy dziecko — idź z nim i pamiętaj, że nie ty, ale oni ryzykują swoje życie, aby ciebie uratować — i dodał, że Armia Polska w Kraju przechowuje dziesiątki żołnierzy Wojsk Sprzymierzonych, o czym zresztą mogłem wkrótce się przekonać.

Spałem w piwnicy, dokąd następnego ranka przyniesiono mi nowe ubranie: słomiany kapelusz, podartą kurtkę i wysokie buty z cholewami. Przyniosła je moja gospodyni, która przyprowadziła jednocześnie małą, 8-letnią córeczkę dziewczynkę. Pokazała mi na migi, że mam pójść za nią. Dziewczynka zaczęła niby płakać i ciągnąć mnie za rękaw. W ten sposób przeszedłem całe miasto. Chwilami bałem się, ale na myśl o odwadze tej małej, zrobiło mi się wstyd.

Na szosie szedłem już normalnie, był mały ruch, czasami zbaczaliśmy w las. Po kilku godzinach dziecko doprowadziło mnie do miejsca, gdzie czekał jakiś człowiek. Do chwili znaleźliśmy się w szatach, gdzie ku memu zdziwieniu zastałem kolegę lotnika, który opowiedział mi swoje, bardzo do moich podobne przygody. Do wieczora przyprowadzono jeszcze dwóch Anglików. Jeden z nich, cały tydzień przesiedział w piwnicy o głodzie, ponieważ w miasteczku była łapanka, mówił, że Polacy przepraszali go za to. Wszyscy byli dobrej myśli i z zachwytem opowiadali o Polakach.

Na drugi dzień rozdzielono nas. Po mnie przyszła wiejska dziewczyna i zaprowadziła do dość odległej wsi, byli tam Niemcy. Przez dwa dni leżałem w stogu siana na polu, w nocy przynosili mi jedzenie. Później przechodziłem z rąk do rąk jak małe dziecko. Zmieniali się opiekunowie i przebrania. Sprawdziło się wszystko, o czym powiedział mi młody człowiek, pierwszy, którego rozumiałem. Opiekowali się mną mężczyźni, kobiety i dzieci, robotnicy i eleganckie damy, pensjonarki i wiejskie chłopaki. Przez trzy tygodnie przebyłem przestrzeń z okolic Warszawy do mego

oddziału, przekraczając dwie „zielone” granice. Ani razu nie byłem głodny, ani razu nie byłem zdany na własne siły. Widziałem rozstrzelania i wieszanie bezbronnej ludności, wiedziałem, że grozi to na każdym kroku moim wybawcom, gdyby mnie poznano, a jednak ani razu nie widziałem, aby się bali, czy chcieli odmówić mi pomocy, a przecież nie rozumieeli mnie, ani ja ich. Teraz wiem, że to wszystko byli żołnierze, wiem że Polska jest jednym wielkim frontem. Nigdzie na świecie nie ma chyba takiej organizacji.

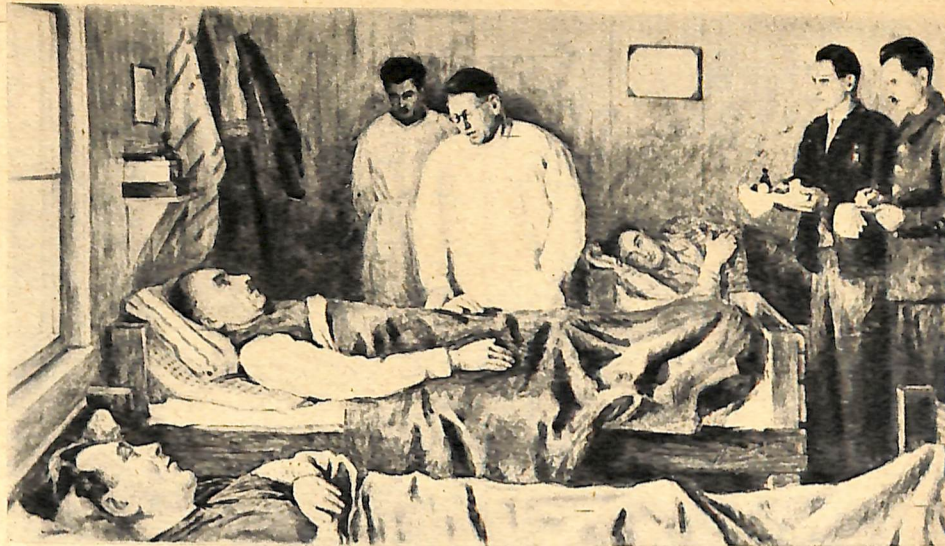
Teraz w Kairze te przejścia wydają mi się snem. Nie pamiętam nazwy żadnego miasta, ani wsi, ale mam w oczach twarze tych wspaniałych ludzi. Chciałbym, aby wiedzieli o nich wszyscy żołnierze brytyjscy. W tym roku matka moja dostanie list na Święta z wiadomością, że jestem cały i zdrow, będzie to zawdzięczała Polakom, a ja nie mogę myśleć spokojnie, że tyłu ich tam ginie, że może ci, co mnie uratowali, już nie żyją...

Po wojnie chciałbym wrócić do Polski, odnaleźć tych ludzi i podziękować im. Przedtem mało znałem Polaków, ale teraz myślę, że jest to najbardziej bohaterski naród na świecie”...

Jest to niemal dosłowne tłumaczenie opowiadania lotnika, ale trzeba było widzieć z jakim, tak rzadkim u Brytyjczyków wzruszeniem mówił, jak mu łzy napływały do oczu, jak starał się przedstawić ogrom niebezpieczeństwa, na które byli narażeni jego obrońcy.

Polacy i Sprawa polska pozyskała w nim i w tych wszystkich, którzy przeszli podobne koleje losu, prawdziwych przyjaciół, rozumiejących napewno dobrze hasło „Za naszą wolność i waszą”. Gdy na zakończenie rozmowy życzyliśmy sobie zdrowych świąt, stanęli nam przed oczami wszyscy, którzy święta te spędzą o głodzie, w ruinach spalonych domów, w obozach koncentracyjnych, w oflagach i stalagach niemieckich, w śnieżnych stepach Rosji. Oby pełne wdzięczności modlitwy matek i żon żołnierzy państw sprzymierzonych, ocalonych od śmierci i niewoli, przyniosły im ulgę i utwierdziły w wierze, że najbardziej ofiarny i bohaterski naród na świecie nie może zginąć.

Jadwiga Czechowiczówna

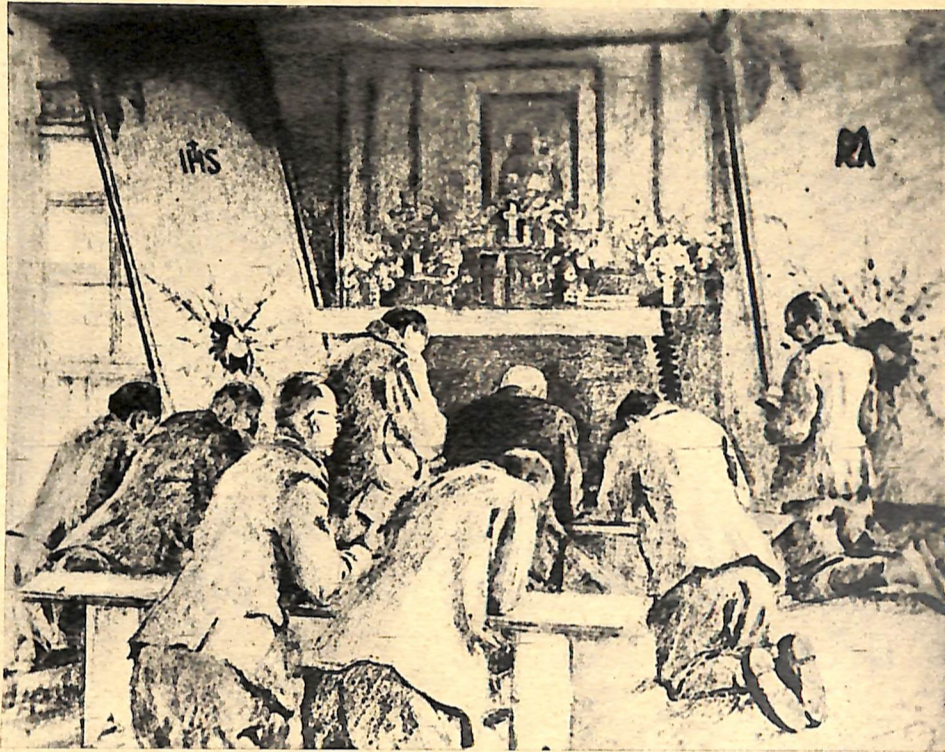


Izba Chorych w „oflagu”

Rys. R. Fryszowski

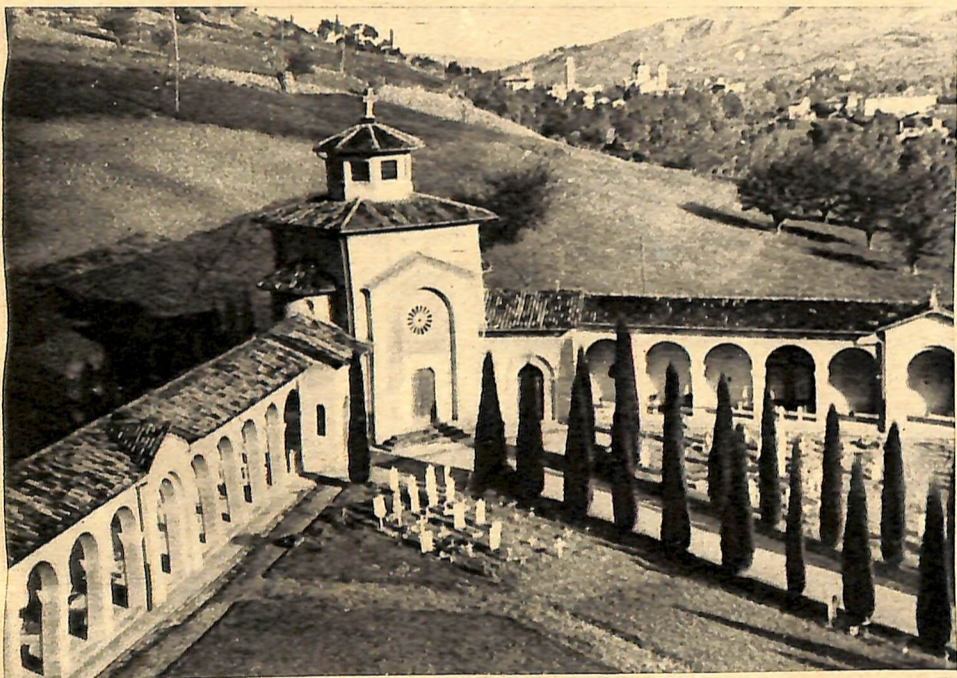
Modlitwa poranna jeńców

Rys. R. Fryszowski



KRESOWA W APENINACH

Predappio — cmentarz wojskowy



Coraz wyżej przez gaje oliwne pną się plechurzy Wileńskiej — wzgórze „385”



NAPISAŁ
DLA
„PARADY”
WITOLD SZYFER

Ze słonecznego S. Elpidio, cichej nadadriatyckiej miejscowości, z godzin beztrudnej plaży i nocnych rozmów z morzem, ze wspomnień odległego frontu pod Anconą, idziemy na start nowej historii, nowych żołnierskich przeżyć.

W dolinie jeziora Trazumeńskiego kończy się piękny sen wypoczynku, przyzwyczajone do szerokiej przestrzeni oko napotyka na twardą zaporę gór. Potężnym półkolem rozciąga się masyw Apeninów. Szaro-zielony w południe, zmienia kolor o zachodzie słońca i wtedy albo przytacza bogactwem purpurowej jesieni,

Na ubezpieczeniu pod stogiem siana — na górskim odcinku Kresowej





Drużyny Kresowej pną się coraz wyżej

albo zwałami chmur ciemno-brunatnych, nasuwa refleksje walk osamotnionych.

Zamknięty w sobie i poważny, przyjął nas wielką niegościnną klimatu, wchłonął w doliny i przełęcz, dał wielką rekompensatę zwycięstw i przeprowadził cało nad równinę Padu. Już z ostatnich gór widać płaszczyznę szeroką — następny etap wydzierania ziemi włoskiej.

Kresowa dywizja piechoty weszła do akcji górskiej w rejonie m. San Piero di Bagno, rozpoczynając działaniami Brygady Wileńskiej nowy okres swych dziejów. W czasie przechodzenia M. Andrioli, przełęczą wysoką na 1173 m, wrócili przywołane pamięcią obrazy Syrii. Zapachniało góską trawą, powiał wysoki wiatr i sprężyły się mięśnie nóg.

W dole zostały wozy, zatrzymały się eszelony B., a plutony i kompanie piechoty poszły do codziennej walki z wrogiem, terenem i klimatem. Zakopana w błoto artyleria rozpoczęła ogniowe wsparcie, saperzy stanęli w obliczu zerwanych mostów i łączność rzuciła na linię sieć drutów powiązanych, drutów, które harmonizują całość.

Na punktach dowodzenia zapadały decyzje, po czym następowała akcja i nowy wycinek ziemi niczyjej dostawał się w nasze ręce.

Pierwszym elementem działania napotkanym na drodze dofrontowej była ciężka artyleria. Ustawiona na wszystkich wybrzuszeniach dróg, strzelała ostrym kątem podniesienia, niejednokrotnie nad głowami przejeżdżających wozów.

Potężny jest huk i podmuch przy odpaleniu. Szarpnięta gwałtownie lufa odskakuje głęboko do tyłu, nerwowym dreszczem wstrząsa się działo i kiedy po sekundzie powraca do pozycji pierwotnej, słychać tylko daleki furkot pocisku przeskakującego wysokie szczyty. W świetle błysku i w czarnej smudze dymu, giną na chwilę artylerzyści, potem ładują następny nabój, wysyłając go w niewidoczny punkt obrony nieprzyjaciela.

Dziesiątki takich dział, rozstawionych wzdłuż białej linii dróg, wspiera walki Kresowej piechoty.

Piechota bije się w górach, przechodzi miejsca zdawałoby się nie do przebycia i zwycięża. Równoległe z oddziałami pierwszej linii posuwają się drużyny saperskie. Wielkim nakładem trudu umożliwiają pościg.

Moździerz Kresowej na wzgórzu „385”



↓ Obserwacja następnego horyzontu przed zajęciem Predappio



Lkm Kresowej panuje nad doliną ↓



Pomost rzucony przez wyrwę otwiera drogę piechocie, która wyparła nieprzyjaciela z linii rzeki i nie pozwala mu nabrać sił, idąc marszem pościgowym.

Odcinek X opanowany przez oddziały własne daleko odskoczył od tylnych rzutów. Następną fazą ząbionego współdziałania jest podciągnięcie elementów zmotoryzowanych. Zanim wyrosną niezawodne „Bayley bridge”, zanim unormuje się ruch na zdobytych drogach, w nieznane tereny idą małe patrole, badające możliwość natychmiastowego przejścia.

Z wielkiego bębna odwija się biała wstęga, płynie węzowata linia i kreśli bezpieczny tor, na którym już za chwilę wryją głębokie ślady łańcuchy kół samochodowych.

Metr po metrze przebijamy się przez trudny teren, metr po metrze idziemy naprzód, wypełniając powierzone nam zadanie. Każdy dzień zbliża nas do wytyczonego celu. Może już jutro wejdziemy na szerokie równiny historycznego Padu.

Dzisiaj jesteśmy w pełni żołnierskiej pracy, oddychamy atmosferą walki górskiej. Kresowa kończy przemarsz przez potężny masyw Apeninów. Z tej gry wojennej wyszła pięknie obroną ręką.



Od domu do domu

KAPŁANI W MUNDURACH



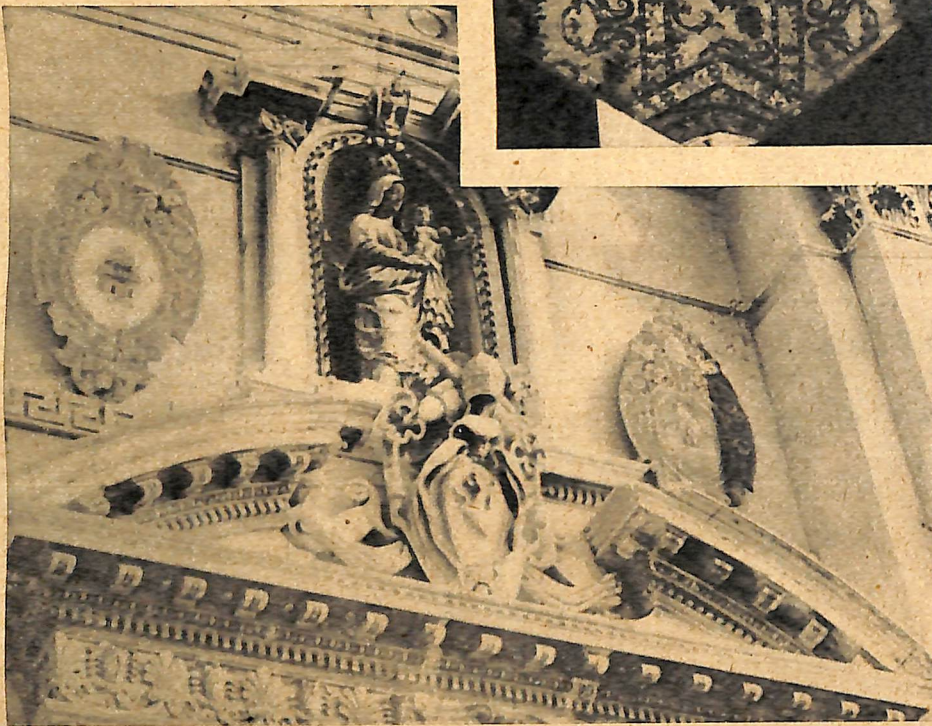
Za uratowanie Bazyliki w Loreto żołnierze Karpackiej zostali odznaczeni medalem papieskim „Bene Meriti”. Dekorował ks. Biskup Polowy Gawlina

Szczytną jest rzeczą kapłaństwo, z ludzkich powołań, powołanie najświętsze. Ku Bogu wznosi się możliwością składania Mu ofiary, ku ludziom wyciąga ręce z miłością i poświęceniem. Kapłaństwo, godnie noszone, składa się z wyrzeczeń osobistych, z pracy dla ogólnego dobra, z odwagi i gotowości czynu. Jest apostołstwem, jest przedłużeniem na ziemi misji tych, którym Chrystus rzekł: „Idźcie i czyńcie w Imię Moje”...

Wiemy, ilu kapłanów położyło życie w Kraju. Traceni, męczeni, skazywani na poniewierkę, zniewagi i wygnanie, szli, mając w oczach obraz Zbawiciela. Padali na progach świątyń, padali, osłaniając swoich wiernych przed prześladowcami. Dawali i nadal dają świadectwo prawdzie, świadectwo wierze. Wrogowie pastwią się nad nimi ze szczególnym okrucieństwem.

Niektórzy kapłani poszli z nami na żołnierski trud poza Krajem. I oni przedzierali się przez strzeżone granice, przez obce ziemie, aż doszli i stanęli w szeregach. Byli zawsze mile, z utęsknieniem witani przez polskich żołnierzy. Nieśli im pociechę religijną w ojczystym języku, tak niezbędną ludziom na obczyźnie. Nieśli im nabożeństwo i pieśń kościelną,

Baldachim uszyty ze zdobyczego pod Wiedniem namiotu wielkiego wezyra



Fragment frontonu Bazyliki w Loreto



W Loreto są liczne pamiątki polskie z bitwy pod Wiedniem. Na górnym zdjęciu — sztandar Sobieskiego; na dolnym — ornat, uszyty z namiotu wielkiego wezyra



do której ucho od dzieciństwa nawykło. Dzielili z wojskiem trudy marszów, niebezpiecznych bojów, okropności niewoli. Nie zabrakło ich wojsku polskiemu nigdy, i w tym jest ich dobrze spełnione posłannictwo, wraz ze świadectwem naszej wiary.

We Włoszech legło na polu chwały dwóch kapłanów, rannych jest siedmiu. Pod Cassino oddał życie Karmelita o. August Huczyński, rażony pociskiem. W innej bitwie zabity został ks. Stanisław Piotr Targosz, magister św. teologii. Ks. Lisowski, ciężko ranny w szczękę dolną i język, dotychczas jeszcze nie odzyskał mowy.

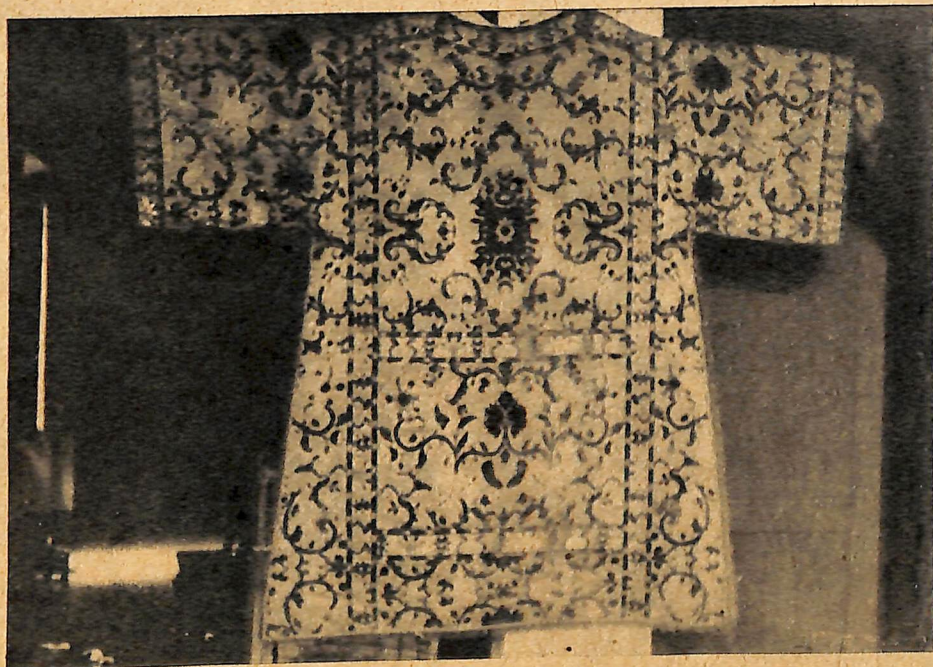
Podczas bojów Polskiej Dywizji Pancerniej we Francji ranny został ks. Głazewski, a śmiercią ofiarną, osłaniając rannych legł o. Wiktor Hupa, Franciszkanin. Nieprzyjaciel nie uszanował flagi Czarnego Krzyża, ani krucyfiks, który ku niemu wyciągnął. I choć nasi wzięli natchmiastowy odwet za ten zgon, okoliczności jego są jedną z najpiękniejszych kart, zapisanych przez duchowieństwo wojskowe w tej wojnie. Godne są pamięci bohaterskiej śmierci ks. Skorupki w wojnie roku 1920.

Wszyscy trzej polegli kapłani byli jeszcze młodzi; najstarszy z nich, o. Huczyński, dobiegał zaledwie czterdziestki, dwaj inni niedawno przekroczyli lat trzydzieści. Zbiegiem okoliczności, z urodzenia byli przedstawicielami różnych ziem Polski: o. Huczyński — Małopolski Wschodniej, ks. Targosz — Krakowa, o. Hupa — Wielkopolski. Jak gdyby śmiercią swoją chcieli dać dowód jednej wiary, jaką całą Ojczyznę ożywia. Studia odbywali w Krakowie, w Rzymie, w belgijskim Louvain. Mieli przed sobą lata pracy duszpasterskiej, czy zakonnej, do której byli dobrze przygotowani. Padli na polu chwały — rycerze Chrystusowi i rycerze Ojczyzny.

Kościół, Ojczyzna, Wojsko Polskie o nich nie zapomną.

Antoni Bogusławski

Szata liturgiczna, również z namiotu wielkiego wezyra





Stare, matę, zagubione w górach miasteczko włoskie, spotkało wchodzące wojska polskie z tak widocznym przerażeniem, że żołnierze polscy przyzwyczajeni do owacji i bez troskłej wesołości Włochów, byli wprost zaskoczeni.

Widok miasta i opowiadania mieszkańców przypomniły żywo nadchodzące wieści z Kraju.

Niemcy tytułem represji za działalność partyzantów spędzili wszystkie kobiety i dzieci do kościoła, mężczyzn wyprowadzili za miasto i tam co

szóstego rozstrzelali, a tymczasem saperzy niemieccy zabrali się do systematycznego palenia i wysadzania domów.

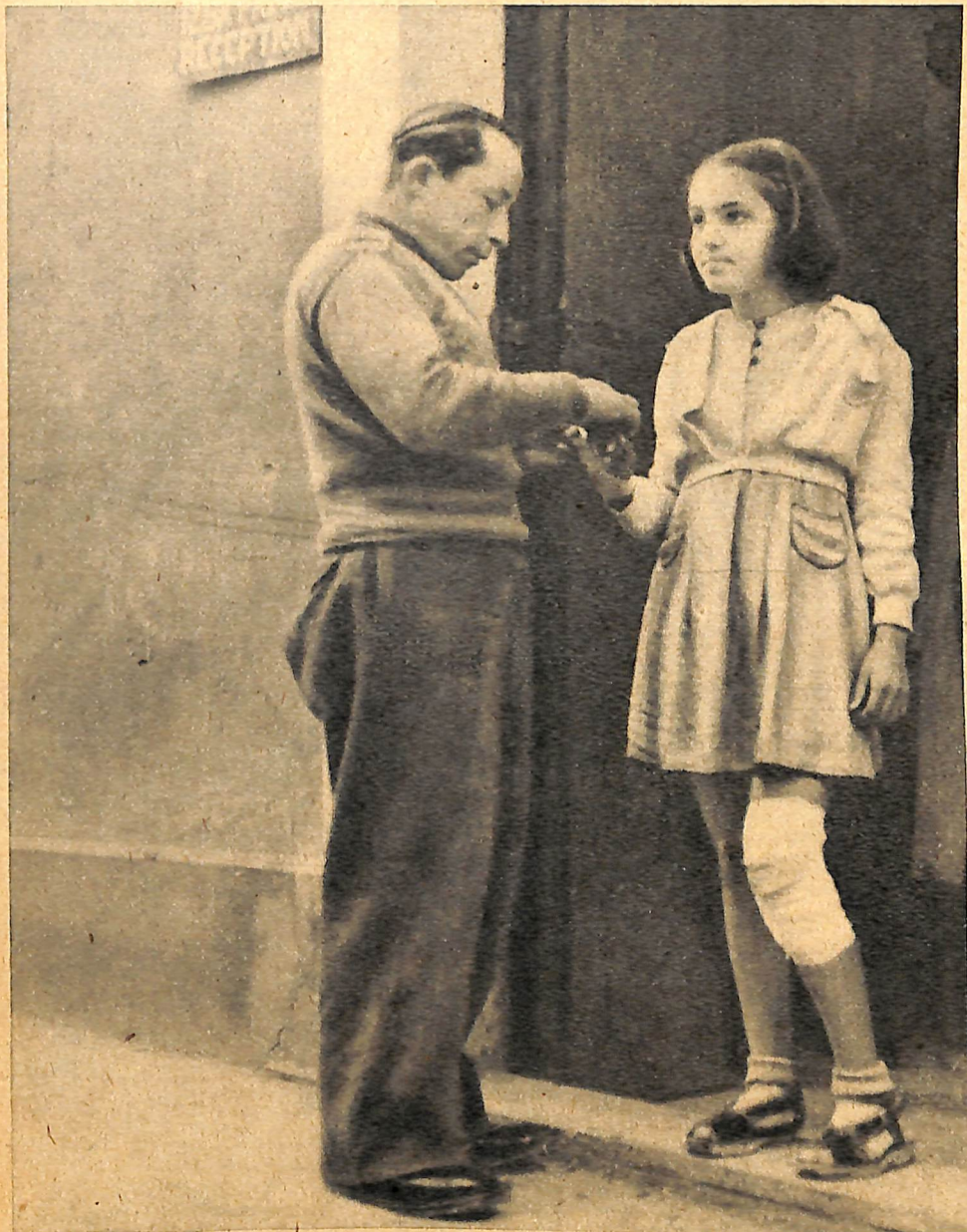
Natarcie „liberatorów” przerwało Niemcom zabawę.

Zaraz znalazł się bandaż dla poranionych, coś w kotle dla głodnych, cukierki dla „bambinów” a czekoladki dla signiorin.

Toteż, kiedy po krótkim popasie „bono polacci” odchodzili, żegnali ich uśmiechy i serdeczne „arrivederci”.

T. Szumański

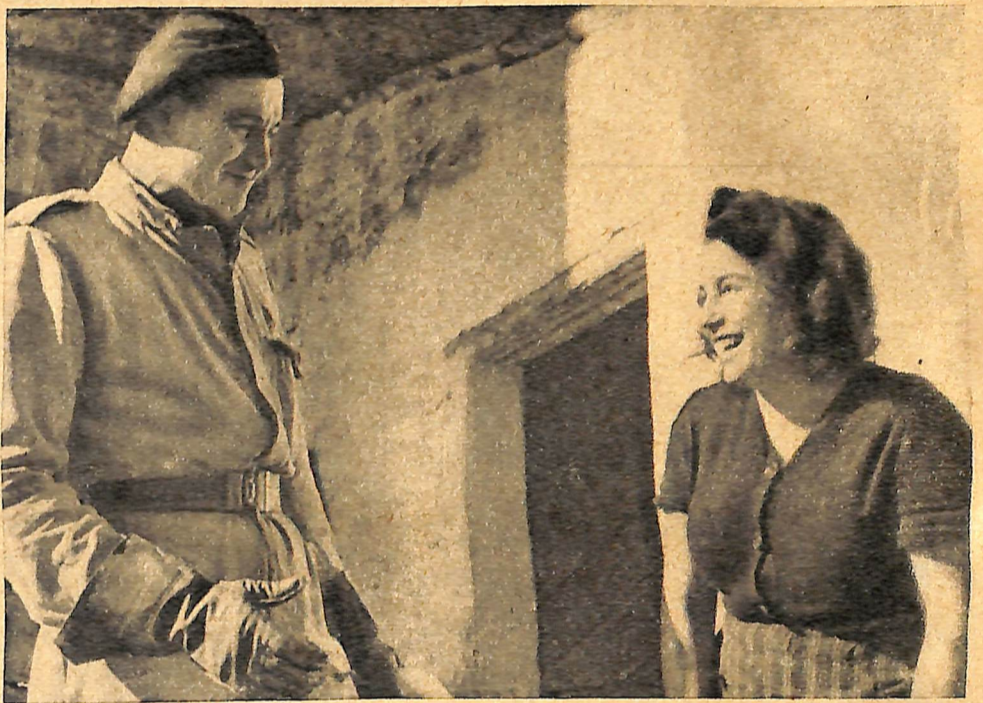
Sanitarlusze polscy udzielają pomocy również ludności włoskiej



SARSINO



Kuchnia polska w Sarsino ma licznych klientów cywilnych



Ten uśmiech jest zachęcający ↑

Ułani przy praktycznej lekcji włoskiego



URLOP WYGRANY NA LOTERII

W czasie wojny żołnierze nigdy nie łatwo było o urlop do domu. Tym trudniej o to dziś, gdy służba w wojsku, czy front oddalone są od ojczystego kraju nieraz o dziesiątki tysięcy kilometrów, a komunikacja niezwykle utrudniona, jeśli nie wręcz niemożliwa. W armii brytyjskiej pragnąc umożliwić żołnierzowi zobaczenie się z rodziną, wprowadzono ostatecznie miesięczne urlopy wypoczynkowe do domów. Oczywiście trudno było udzielić urlopów wszystkim, którzy tego pragną, gdyż łatwo zgadnąć, że każdy chciałby choć na krótko powrócić w rodzinne strony i znaleźć się wśród swoich.

Liczba szczęśliwców zatem, którzy mogliby tego dostąpić musiała być siłą rzeczy mocno ograniczona. By jednak przydział urlopów wypadł najbardziej sprawiedliwie, postanowiono oddać go w ręce ślepego losu i po prostu stworzono loterię. Ciągnięcie takiej nowozainicjowanej tomboli odbyło się niedawno w jednym z miast na Środkowym Wschodzie, gdzie gen. Sir Bernard Paget z pośród wszystkich pełniących tu służbę brytyjskich rodzajów broni zezwolił na udzielenie urlopów 1200 żołnierzom. Jednakże ubiegać się o taki urlopowy fant mogli tylko ci, którzy pełnią służbę poza Anglią nieprzerwanie conajmniej od trzech lat. Przygotowania do owego oryginalnego ciągnięcia trwały uprzednio szereg tygodni. Trzeba było bowiem sporządzić dokładne listy w każdym z poszczególnych rodzajów broni, wymieniając nazwiska, stopień i kwalifikację kandydatów. Ubiegać się o tę nagrodę mogli żołnierze wszystkich oddziałów, a także i ochotniczki. Sporządzone w ten sposób spisy zostały następnie zbadane przez specjalnie wyłonioną w tym celu komisję, której zadaniem było sprawdzenie, czy wymieniony żołnierz istotnie uprawniony jest do otrzymania urlopu, bądź też, czy mając do niego prawo może bez zbytej szkody dla dobra służby opuścić na miesiąc swe stanowisko.

Wreszcie nadszedł ów tak gorąco oczekiwany dzień losowania. W dużej sali jednego z wojskowych klubów, gdzie na Środkowym Wschodzie zbudowano scenę, na której ustawiono mikrofon radiowy, dwie duże tablice do zapisywania wyników oraz najbardziej istotny rekwizyt — wielkie koło szczęścia ze zwiniętymi numerami uczestników swobodnego konkursu. Z boku przy małym stoliku zasiedli członkowie komisji z aktami kandydatów. W pobliżu zaś sceny wojskowa orkiestra wygrywała wesołe walczyki, które miały kochać działać na podniecone nerwy zgromadzonej licznie publiczności.

Ciągnięcie miało nastąpić w porządku alfabetycznym według poszczególnych rodzajów broni.

Na pierwszy więc ogień poszła rozpoczynająca się na literę A — artyleria. Artylerzystów godnych zdobycia urlopu było na liście kandydatów dziewiętnastu, jednakże według rozdzielnika z artylerii mógł pojechać tylko jeden. Wrzucano zatem do koła szczęścia dziewięć-



Generał Sir Bernard Paget ciągnie losy dla swoich żołnierzy

naście losów. Orkiestra zagrała marsza, zabłyśły reflektory na scenie, światło na widowni zgasło i olbrzymi bęben z numerami nazwisk wyrzucił się do domu artylerzystów został puszczony w ruch. Jednocześnie strzeliły oślepiające lampy magnezji i suche pstryknięcia fotograficznych aparatów, które miały uwiecznić tę tak ważną dla wielu chwilę.

Gdy wreszcie koło zatrzymało się, podszła doń zaproszona uprzednio ochotniczka, która miała odegrać teraz rolę przysłowiowej sierotki, wyciągnęła jeden numer i wręczyła komisji. Na dużej tab-

licy zapisano numer szósty. Teraz zmieniono w koło losy wrzucając konkurso- wiczów z innego oddziału. Bęben znów zawirował, a ochotniczka ponownie wydobyla zeń jeden los, jak się okazało również szóstkę. Tymczasem emocjonująca zabawa trwała dalej. Szczęśliwy los, który obdarzył wyjazdem do domu marynarza Hutchinsona z okrętu wojennego Stag został przyjęty hucznymi oklaskami.

Podobnie owacyjnie przyjęto wybór panny Thompson, siostry Czerwonego Krzyża. Szczęście uśmiechnęło się również jednemu oficerowi. Był to w tej serii

jedyny los przeznaczony na cały oficerski korpus.

Wreszcie na scenę wstąpił generał Paget, który własnoręcznie wyciągnął z pośród numerów kandydatów piechoty trzy losy swoich chłopców. Uroczystość dobiega końca, jeszcze komisja sprawdza swoje akta, po czym znów orkiestra, pamiętkowe, zbiorowe zdjęcia i publiczność opuszcza salę. Szczęśliwi wybrańcy losu spieszą, by przygotować się do oczekującej ich wkrótce radosnej podróży, inni — pocieszają się w duchu, że może przy następnym ciągnięciu los będzie dla nich łaskawszy.

Długa kolumna nazwisk kandydatów

ADAMS A	1577188	420	241	27
ALLGOOD FB	1788844	1040	241	18
BEACH EH	1130146	341	1141	23
BURRELL J	1644057	1240	241	26
BURNHAM LEB	1114518	241	1241	28
BUTCHART ORR	1752850	241	1241	30
COHEN W	1703253	241	1241	29
HUME LC	1304579	540	241	17
HUMPHREYS WH	1786764	441	1241	37
IRNES CG	1813293	741	1241	29
LADLAW RB	1625509	941	1241	31
LAW S	1781944	341	741	36
MACKAY BJ	405188	311	1241	18
MIDDLEMORE WH	1541930	741	1241	30
MORRIS CL	841185	941	1241	22
ORR RR	1514073	1141	741	27
RAMSHAW	803179	941	741	18
SIMPSON JB	785298	941	741	18
SIMPSON JR	1484056	941	1241	17
TYBEE JA	1771544	241	1241	28
VICKERS F	814414	941	1241	19
WEBB H	1800183	541	1241	35
WHITE LB	1633247	241	1241	

Komisja przy pracy





Łazik przed kurtyną



Krwawy Adolf i minister Apropos-Grandy

Mróz skrzy się w szarym świetle zimowego dnia. Czerwieni wilgotny nos, siwizną oblepiając rzęsy, brwi i czarny otok barankowego obszycia wokół czapki-uszatki. Udeptany śnieg chrupie pod gumowymi podeszwami fasowanych butów, które trzeba stawiać mocno i z góry, bo na złośliwej ślizgawicy ulic Buzułuku nie trudno upaść, potłuc się dotkliwie i ośmieszyć. W czarnych, watowanych spod-

że wyleję nawet jeśli upadnę, gdyż mleko zamarzło na blok karraryjskiego marmuru. Już niedaleko. Przy końcu ulicy widnieje napoleoński pałacyk z białoczerwoną flagą na dachu. To nasz sztab. Tuż naprzeciw niego — drewniany kiosk zbity z szarych desek, a przed nim — olbrzymi wąż przytupujących na mrozie ludzi. Kobiety, dzieci i mnóstwo żołnierzy polskich i sowieckich. Nikogo tutaj

łuckiego teatru, dostrzegam wysoki, podłużny afisz. To zespół kijowskiego teatru zapowiada premierę nowej, wojennej sztuki pt.: „Młodzieniec z naszego miasta”, a po przedstawieniu — dancinng dla publiczności.

Wieczorem siedzę w teatrze. Sztuka oczywiście propagandowa. W jednej scenie, gdy główny bohater dramatu „młodzieniec z naszego miasta”, młody

Pomysł zdawał się całkowiec nie do przeprowadzenia, jednak tak mnie opanował, że w żaden sposób nie mogłem go wybić sobie z głowy.

Nazajutrz, w czasie śniadania, w obszernej jadalni tłumy tłoczyły się przed tablicą, do której ubiegłej nocy przypięto nowy numer gazetki ściiennej. Pismo było ilustrowane barwnymi rysunkami. Zabawne karykatury żołnierzy i ochotniczek namalowane były tak plastycznie, że czyniły wrażenie marionetek z rysunkowych filmów. I nagle przypomniały mi się kukielki do politycznych szopok, jakie kiedyś pisałem wraz z kolegami. Szopka to najłatwiejszy teatr do wystawienia, zawsze atrakcyjny i najbardziej wdzięczny dla politycznej satyry, aluzji, dowcipu, lekkiej muzyki i piosenki. Genialne pomysły rodzą się nieraz w najbardziej prozaicznych okolicznościach. Watson wymyślił lokomotywę, gotując sobie garnuszek wody na herbatę. Ja — drewnianą łyżką jedząc kaszę z blaszanej miski — postanowiłem niezłomnie napisać szopkę.

Na wielkiej stacji kolejowej elewatora Buzułuku, my uczniowie podchorążówki wyładowywaliśmy nowoprzysłane battle-dressy, koce, pasy, koszule i płaszcze. W czasie dźwigania tych bambetli układałem w myślach spis lalek, jakie będą występowały w szopce. W czasie obiadowej przerwy lista została sporządzona. A więc: generał Anders, Hitler, Mussolini, Goebbels, Japonia, Anglia, Ameryka, Francja, Nafta, która rządzi światem, ośzalała Kula Ziemska oraz szereg postaci i typów zarówno autentycznych, jak i alegorycznych. Angielskie mundury, jakie setkami nosiłem przez cały dzień na własnym grzbiecie, okrytym sowiecką fufajką, nasunęły mi pomysł pokazania małżeńskiej pary w częściowo sowieckim, a częściowo brytyjskim umundurowaniu.

Kłaniactwo i trzaskanie obcasami na korytarzach sztabu w poszukiwaniu przydziału, lepszej funkcji, czy weryfikacji stało się przyczyną, że jedną z głównych kukielek szopki została wielka tuba wazeliny. Rolę konferenciera spełni Łazik — żołnierz-roztropok, który zapowie każdą figurkę, scenę i dekorację. Całość miała być napisana według starej, tradycyjnej i wypróbowanej recepty: widowisko wierszem będzie się składało z dwu części, wypełnionych aktualnymi piosenkami na znane, skoczne, popularne melodie.

Jeszcze tego wieczoru wyszukałem owego malarza, który ilustrował gazetkę ścienną i po wypiciu pół litra kminkówki, postanowiliśmy stanowczo, iż szopka musi się narodzić, że — szkoda gadać.

Malarz z miejsca „uderzył w czynów stal”, to znaczy, poszedł do baraku ochotniczek i kilku co przystojniejszym dziewczętom zaproponował szybie ubrań dla lalek. Oczywiście ochotniczki zgłosiły się na ochotniczkę i wnet zaczęły znosić przeróżne kolorowe gałganki, szmatki, fatałaszkę, fartuszki, frendzelki, guziczki, tasiemki, wstążeczki, zatraski, pompniki i bombelki, które mogłyby dla szopki okazać się zbawienne tudzież wręcz niezastąpione. Tymczasem ja w dzień ordynarnie uciekając ze zbiórek, a w nocy na swym posłaniu na mokrej podłodze pod jakimiś drzwiami, skąd raz wraz ktoś wychodząc wpadał na mnie lub zρέcznie przeze mnie przeska-kiwał, pisałem moje piosenki. Ostatecznie po pewnym czasie, gdy już spora porcja projektów lalek i piosenek była gotowa, malarz Włodek (albowiem Włodek miał na imię Włodek), stwierdził, że najwyż-

TADEUSZ WITTLIN

Diszę Szopkę...

niach, wpuszczonych w cholewy i ciemnej fufajce, z aluminiowym kociołkiem w zgrabiłym ręku, powracam z bazaru do odległych koszar. Podurski grudeń szczybie mnie w zmarznięte, blade policzki, które raz wraz rozcieram dłonią w grubej rękawicy. Z zaciśniętych ust i burakowego nosa parskam kłębami pary. W kociołku mam mleko — dwie szklanki za czterdzieści rubli. Kociołek na żelaznym pałacyku kolebie mi się w palcach, lecz skulony śpieszę szybko, bez obawy,

nie przeraża siarczysty mróz. W kiosku sprzedają wódkę.

Jeśli skręcę w prawo pomiędzy kiosk z wódką, a sztab z bigosem w oficerskim kasynie, znajdę się wkrótce w garnizony-m baraku przy ulicy Pierwszego Maja. Myśl o ciepłe z okrągłego pośrodku izby pieca, przy którym rozgrzeję ręce i mleko przypina mi skrzydła, że płynę przez lodowate miasto, jak na sankach z żaglem. Wtem, przed oparkanionym, niziutkim płótem gmachem buzu-

oficer w czasie swego urlopu w Moskwie postanawia uczyć się języka francuskiego, na zapytanie swej przyszłej nauczycielki, czemu interesuje go ten zagraniczny język, odpowiada z wielomówiącym, dyskretnym uśmieszkiem:

— Kto wie, może francuski język już wkrótce nie będzie dla nas cudzoziemski...

Publiczność wali brawo przy otwartej kurtynie. Przedstawienie wkrótce koficzy się. „Młodzieniec z naszego miasta” bierze do niewoli hitlerowskich generałów, załapuje order Lenina i zaślubia swą narzeczoną siostrę Czerwonego Krzyża. Wszystko to robi jednocześnie na froncie. Widzowie są zachwyceni i wynoszą się szybko, tym bardziej, że salę trzeba opróżnić z krzesel i przygotować do tańca, a w bufecie zaraz zacząć sprzedawać mandarynki oraz białe pieczywo, więc trzeba ustawić się w kolejce. Nakładam fufajkę i opuszczam teatr. W drzwiach, na schodkach i w otaczającym budynek karłowatym ogródku pokrytym śniegiem, mijają mnie przytulone pary naszych żołnierzy mocno ściskających pod rękę sowieckie dziewczynki, w białych, czerwonych i zielonych beretach. Idą na tańce.

Samotny i zamyślony stąkam przez granatowy wieczór. W powietrzu wolno opadają na ubieloną ziemię zimne świetliki mrozu, jak srebrne okruchy wysokich, białych gwiazd.

Gdybym tak w tym teatrze wystawił jakąś satyryczną historię, byłoby to wspomniały figiel — przyszło mi nagle na myśl. Tylko jakby to zrobić?

Kukielka Gen. Andersa



Zespół szopkarski za kulisami



szy czas, aby strzelić Wydział Kultury na forse.

— W licznych towarzystwie można żyć nawet na bezludnej wyspie — wygłosił mądrą sentencję — pracować zaś bezpłatnie można tylko za dobrym wynagrodzeniem. — Krótka konferencja z różnymi matadorami dała nam prawo korzystania z lokalu Wydziału dla budowy szopki. Ponadto Włodkowi przyrzeczono farby, papier, klej i wszelkie inne smarowidła, a mnie zaliczkę, żebym mógł się dożywać przy pisaniu.

Wkrótce pokoje Wydziału Propagandy przy ulicy Czajajewa zamieniły się w szwalnię, dekoratornię, rekwizytornię, zakład stolarski i klinikę lalek. A zimno było w tym lokalu, że pomimo napalenia w piecu kilku krzesłami, pracowało się w płaszczach, czapkach, szalikach i rękawiczkach. Każdy siedział okutany w co kto miał. Największa bieda była z materiałem. Papier i farby jakoś jeszcze się zdobyło, natomiast wynika tragedia wobec braku w całym mieście gipsu, czy innej plasteliny tak koniecznych do modelowania masek. Ostatecznie Włodek po długim skrobaniu się w czuprynę, co do czystości której miałem poważne zastrzeżenia, wyskrobał wręcz niebezpieczny projekt. Maski lalek będzie modelował w chlebie.

Na głowy marionetek, miast kilogramów gipsu poszły zatem ciemne bochny czarnego chleba, oklejane następnie wąskimi paskami papieru jak egipskie mumie. Po wyschnięciu miało to być bardziej niezniszczalne, niż cement. Istotnie lalki przetrwały wiele, aż wreszcie do chleba dobrały się myszy i odgryzły Mussoliniemu nos, a brytyjskiemu lwu — ogon. Jeszcze większy kłopot był z drzewem, bez którego nigdy nie powstanie żadna szopka. Gdy zamyśleni, skądby tu wydobyć budulec, powracaliśmy z pracowni do koszar, Włodek wskazał nagle potężną z desek bramę wjazdową do Komendy Garnizonu. Brama była stale zamknięta, przeznaczona jedynie dla wozów. Otwierał ją wartownik, który siedział w małej budce przejściowej dla żołnierzy. Plan został postanowiony błyskawicznie. Wszedłem do budki i oprócz mej przepustki pokazałem marznięcemu na kość służbowemu jakieś broszurki „Kampania wrześniowa” czy coś w tym rodzaju, a tymczasem Włodek wyjął z bramy dwie potężne dechy i dał z nimi drapak. Później przez szereg tygodni główna brama wjazdowa garni-

zonu Armii Polskiej w Buzułuku stała dnem i nocą otworem, ogołociona z desek.

Wreszcie nadchodził dzień premiery. Na obrotowej scenie teatru, na której to właśnie występował jeszcze niedawno sowiecki „młodzieniec z naszego miasta” stanęła polska strzecha z olbrzymim bocianem na szczycie. Dwa inne bociany na błękitnej kurtynie były tak skonstruowane, że z chwilą podciągnięcia firanki podrywały się i ulatywały w górę. Tymczasem jeden z organizatorów tej imprezy, Rudy Ignac w gmachu sztabu sprzedawał bilety. Obłożony przez tłumy czynił to z wprawą tramwajowego konduktora. Robił przy tym tyle szumu wokół siebie, że ogólnie brano go również za autora, malarza, aktora i kompozytora. Rudy nie myślał zresztą nikogo wprowadzać z błędu i przyjmował gratulacje poważnie i godnie.

Nazajutrz teatr wybity był po brzegi w krzesłach i na galerii. W pierwszym rzędzie zasiadł generał Anders z różnymi wysokimi fiszami ze sztabu oraz sowieckim pułkownikiem, oficerem łącznikowym.

Za sceną ustawili się aktorzy czołwki teatralnej, którzy z pełnią wrodzonego humoru mieli śpiewać w chwili ukazania się marionetek.

Gong — reflektory — orkiestra i bociany ulatują w powietrze. Na scenę wybiega Łazik i zapowiada. Po nim wystąpił Lew Brytyjski, Ochotniczka, Kogut Gallijski, aż wreszcie zjawił się Bajkopisarz Anders-gen i zaśpiewał:

*Bajki czarowne, bajki cudowne,
Wspaniałe bajki są Anders-gena,
Jak u nas w samym
Kraju kochanym
Będzie w przyszłości wyglądać scena.
Więcej nie będzie
Burd w parlamencie,
Gdyż naród zgodny jak jeden mąż
Nie będzie bzdurstwa,
Ani gadulstwa
I będzie jedność panować wciąż.
Nie będzie złośliwych obstrukcji
Okrzyków: „Dość!”, „Precz!”,
partijnictwa,*

*Koterii, ni klik, ni korupcji
Płotkarstwa, ni też łapownictwa.
Nie będzie krzykliwych elekcji,
Lecz cicho, spokojnie i skromnie,
Nie będzie ni świństw, ni protekcji...
Ja bajki tak lubię ogromnie...
Ja bajki tak lubię ogromnie.*

Akt pierwszy z dekoracją Buzułuku i drugi „Na perskim jarmarku” przechodzą gładko, aż do chwili, gdy na scenę wbiega olbrzymia tuba wazeliny, która śpiewa:

*Jeśli spotkasz wyższego
Z wyższym stopniem od twego
Za nim idź, w korytarzu tkwij,
A masz czas, więc poczekaj.*

*Jeśli możliwych jest więcej,
Wtedy szukaj najprędzej
Jakby wślizgnąć się poprzez drzwi,
Znowuż stój, znowuż czekaj.*

*No i przy tym wciąż uśmiechaj się, na
twarzy błoga mina,
Mnóstwo pochlebstw — wazelina,
Oto, co nazywa się.*

*Cały kwitniesz jak pączek,
Ucałowanie rączek,
Jeno się
Wciąż w ukłonach gniesz,
To się zwie:
Wazelina!*

Po tej piosence w pierwszych rzędach krzesłał miny niektórym widzom mocno skwaśniały. Później gdy Krwawy Adolf śpiewa o sobie „Już taki jestem zimny drań” i wraz z Benitem Mu-Wsolili tańczy husia-siusia, pułkownik sowiecki aż tupie nogami z ucieszy. Wtem jednak ukazuje się Łagiernik, czyli Polak wypuszczony z obozu, taki jak każdy z nas, zanim dostaliśmy się do armii. Oberwany, w podartej czapce, dziurawych łapciach z nieodstępnym kociółkiem w rękę. Kłania się sowieckiemu oficerowi i tańcząc śpiewa:

*Dziękuję wam za wszystko,
Za dobre i za złe,
Przetrwiałem już więzienie,
W niem noce i dni.*

*Dziękuję wam za łagry,
Za konwój i za psy,
Dziękuję wam za owies
I uszy.*

Wreszcie widowisko dobiega końca. Mnóstwo osób wchodzi za kulisy, gratulacje, pocałunki jakichś wspaniałych dziewcząt, że obydwa z Włodkiem jesteśmy dosłownie oszołomieni. Gdy wychodzimy z teatru, na ulicach rosyjska dzieciarnia wyśpiewuje już na całe gardło jedną z piosenek: „angielski mundur sowiecka fufajka”...

Wieczorem na intencję premiery urządzono w biurze Wydziału przyjęcie. Rolę podчасzego pełnił Rudy Ignac, który z



Wejście do Komendy Garnizonu Armii Polskiej w Buzułuku

wrodzonym roztargnieniem nalał kilku wyższym oficerom miast białego wina, pełne szklanki octu przeznaczonych do jakiegoś majonezu. Facety myślały, że chcieliśmy ich umyślnie otruć.

Gdy jechałem z Bagdadu do Kairu, na granicy syryjskiej angielskie władze rewidując moje rzeczy natrafiły na dziwną książkę drukowaną maszynowym piśmem, w której były plany budowy jakichś drewnianych budynków, szkice sposobów ustawiania lamp pod rampą oraz karykatury nie tylko Hitlera i Goebbelsa, lecz również Roosevelta, Churchilla i polskich generałów. Historia wydała się podejrzana. Ostatecznie egzemplarz Szopki skonfiskowano, a mnie polecono wysiąść z autobusu. Po prostu zostałem zaarrestowany jako szpieg, czy inny gość, który szarga świętości. Trudno. Siedzę w budce strażnika i czekam, co będzie dalej. Po jakimś kwadransie wchodzi oficer i zwraca się do mnie:

— Telefonowaliśmy do naszych władz w Haifie. Zaraz przyjadą samochodem i sprawa zostanie szybko wyjaśniona. Pan pali? Może papierosa... Już kazałem przynieść panu filiżankę herbaty, a tymczasem oto dzisiejsze gazety. Jeśli panu przykro tutaj, proszę sobie usiąść w słońcu przed domem. Najmocniej przepraszam za ten areszt, ale niestety przepisy...

Spojrzałem na niego z uśmiechem niedostępnej wyższości i z filozoficznym pobłażaniem odparłem moją bardzo złą angielszczyzną:

— Panie kapitanie! Ja przez dwa lata siedziałem w sowieckim więzieniu i proszę mi wierzyć, że pański kryminał w porównaniu z tamtym, to — szopka.

POLSKA Y.M.C.A. PRZY POLSKIEJ DYWIZJI PANCERNEJ

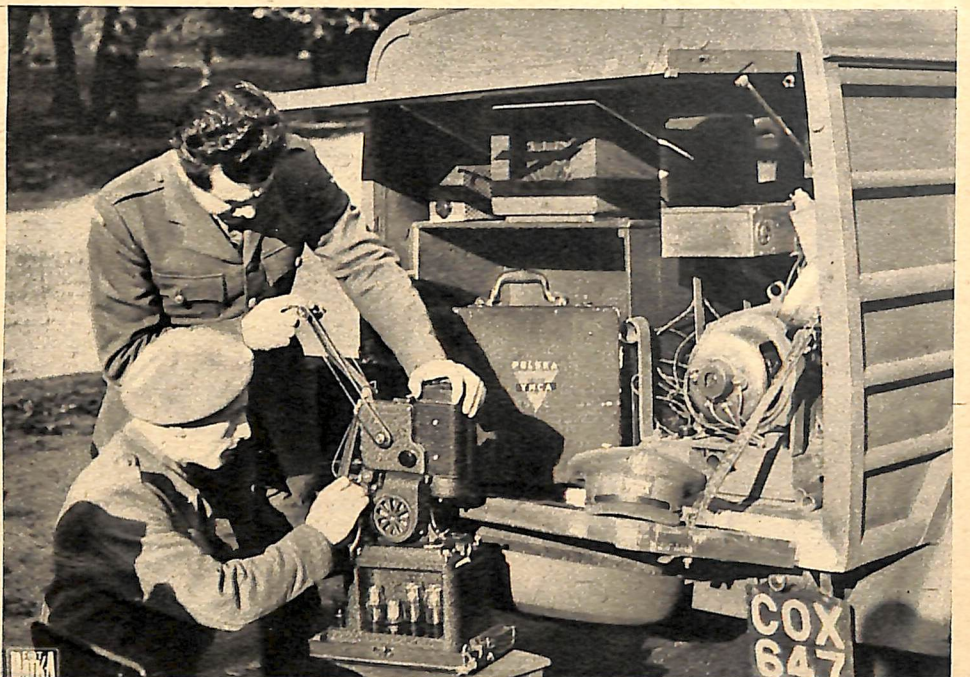
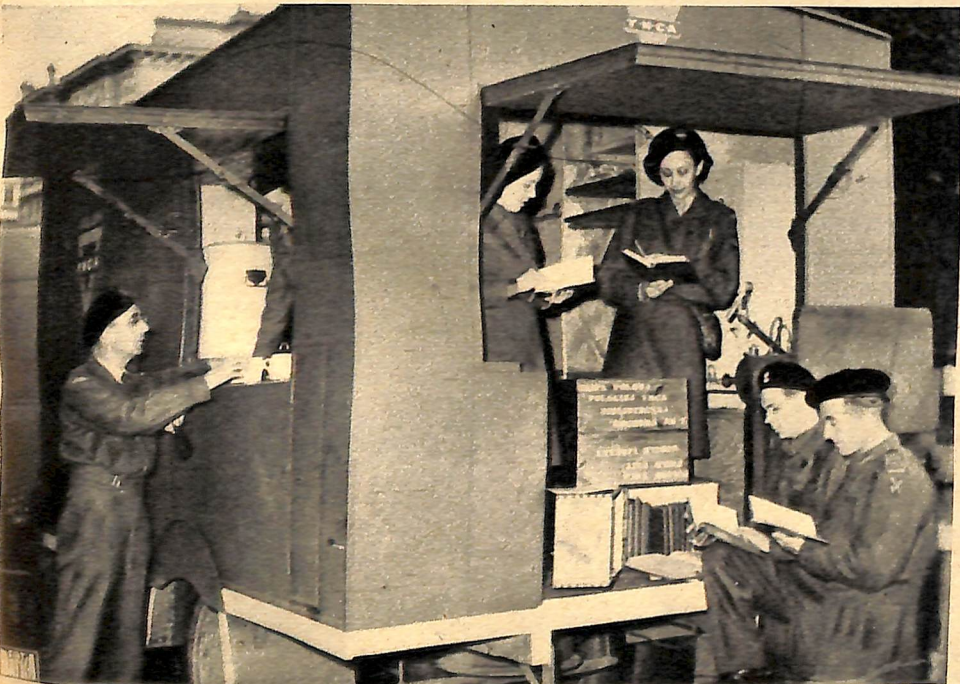
W początku października br. opuściła Anglię ekipa polowa Polskiej Y.M.C.A., udając się do Francji, Belgii i Holandii, gdzie ma obsługiwać oddziały Polskiej Dywizji Pancerniej oraz obozy uzupełnień i rekrutacji do Armii Polskiej. W skład pierwszego zespołu tej ekipy, która w miarę potrzeb będzie rozszerzana, wchodzi 11 mężczyzn, głównie kierowców, oraz 9 kobiet — świetliczerek. Wszyscy otrzymali staranne przygotowanie na kursach i praktykach, a wyekwipowani zostali w pełny sprzęt polowy, umożliwiającą założenie własnych kwater wraz z kuchniami, nawet w najgorszych warunkach.

Zespół ten, który dzisiaj pracuje już na zachodzie Europy, dysponuje pięciu specjalnymi samochodami. Każdy z nich może służyć jako kantyna, posiada radio z zewnętrznymi głośnikami, mikrofonem i adapterem, małą bibliotekę i aparat

filmowy. Szczególnie praktyczne są dwa wozy, które obok urządzeń kantynowych, pozwalają na wydanie 2000 posiłków naraz, poza gramofonami, filmem i bilonetką, mają jeszcze wysuwaną scenkę i małe pianino. Jeden z tych samochodów jest darem „Sokoła” z Pittsburgha. Zmontowanie ekipy Polskiej Y.M.C.A. zostało umożliwione dzięki subwencji Rady Polonii Amerykańskiej — Polish War Relief. W przygotowaniu i budowie jest dalszych sześć samochodów pięcioletnich najnowszego typu, które również fundują Polacy amerykańscy, z nadzieją, że również po wojnie będzie je można użyć do akcji oświatowo-kulturalnej na wsi polskiej.

W życzeniach, jakie przedstawiciele wojska i organizacji społecznych składali wyjeżdżającej z Anglii ekipie Polskiej Y.M.C.A., było przede wszystkim jedno, najważniejsze: aby jak najprędzej wspólnie z dywizją pancerną dotarła do Polski.

Kantyna i biblioteka w jednym samochodzie



Wóz kinowy, wyposażony w 16 mm aparat dźwiękowy

Tabor samochodowy ekipy polowej Polskiej Y.M.C.A.



Wigilia w Ruthba

100, 150, 200 km za Bagdadem podróżny traci już nadzieję, czy pustynia skończy się kiedykolwiek. Równina — piaszczysta, szara, nakryta okrągłym kłosem nieba sprawia wrażenie więzienia — nie bezkresu. Jest obojętne — patrzeć na zachód, czy na wschód. Ten najspokojniejszy z pacyfików ciszy, który leży w ramach horyzontów — jest wszędzie równie niedostępny i głuchy. Głuchy jest milczeniem przestrzeni międzyplanetarnych — martwy granicą śmierci, za którą ciągną się strefy nieorganicznego istnienia. Drobną żwir jakby żużel na olbrzymim wypalenisku i piach jak popiół. Gdy ziemia kiedyś zgaśnie i stanie się księżycem — tu nikt tego nawet nie zauważy.

W arabskim autobusie, który raz w miesiącu podejmuje trudną podróż Bagdad—Jeruzolima byłam jedynym Europejczykiem. W Habanii straciliśmy prawie cały dzień na naprawę motoru i było niewątpliwym, że na wigilię nie zdążę już do Jeruzolimy. Arab szofer patrzył co pewien czas na słońce i orientował wóz. Jechaliśmy po prostu na przelaj — od jednego krańca nieba po drugi.

Słońce stało jeszcze wysoko. Niebo było bezchmurne i puste, jak ziemia. Moi współpasażerowie drzemali i tylko kupiec z Mossulu czytał z powagą angielską gazetę. — W pewnym momencie daleko nad linią horyzontu dostrzegłem kilka sępów, zataczających wielkie kręgi jakby nad upatrzoną zdobyczą. Gdy podjechalismy bliżej, wynurzył się ku nam samotny Beduin na wysokim, chudym wielbłądzie. Szofer zamienił kilka słów z kupcem z Mossulu i zatrzymał autobus. Samotny wędrowiec zsiadł ze swego wielbłąda i zaczął zbliżać się ku nam ostrożnie i nieufnie. Gdy podszedł bliżej zauważyłem, że po prostu chwiał się na nogach. Złożył głęboki ukłon kupcowi z Mossulu i zaczął coś bełkotać. Tylko szofer rozumiał narzecz, którym mówił. Rozpoczął się dialog, przerywany ustawicznie gwałtownymi wybuchami śmiechu naszego szofera. Za każdym zdaniem zbieżonego Beduina Arab parsknął śmiechem i klaskał w dłonie. Nie rozumiałem o co chodzi. Wędrowiec i jego wielbłąd czynili wrażenie istot u kresu sił.

Przy pomocy kupca z Mossulu, który znośnie mówił po angielsku, starałem się wy badać losy Beduina. Kupiec tłumaczył moje pytania szoferowi, ten zaś powtarzał je Beduinowi.

Okazało się, że Beduin wyruszył przed 8-mioma dniami w podróż do oazy Sefeth, gdzie była święta studnia. Od trzech dni nie miał kropli wody w ustach i nic nie jadł. Zabłądził? Od roku nikt z jego szczepu nie odwiedzał Sefeth. Biedny nie wiedział, że przed kilku miesiącami huragan pustynny zasypał doszczętnie małą oazę — tak, że dziś nikt oznaczyć by nie potrafił miejsca, gdzie znajdowała się święta studnia.

Podzieliłem się z Beduinem sandwiczami, które przyjął dość nieufnie. Natomiast wodę pił długo i chciwie.

— Niech się go pan zapyta, czy odnajdzie drogę do domu? — zwróciłem się do kupca z Mossulu.

Irakczyk nie przetłumaczył pytania — spojrzął natomiast na zegarek i uchwyciwszy bezceremonialnie szofera za ramię pociągnął go w stronę samochodu.

Beduin patrzył na nas obcymi, nierozumiejącymi oczyma. Po chwili obrócił się i zaczął iść wolno ku swemu wielbłądowi.

Szofer puścił motor w ruch — wóz ruszył. Dopiąłem płaszcz i postanowiłem nie interesować się tym więcej. Moje pytania i wątpliwości, czy Beduin odnajdzie drogę powrotną, musiały wydać się Irakczykowi bardzo naiwne. Ostatecznie, choć lepiej zna ten przeklęty żywioł pustyni, jak nie Beduin.

Po dłuższym czasie kupiec z Mossulu podsunął mi otwartą papierośnicę i powiedział:

— Nie wszystko można przetłumaczyć...
— Pytanie było proste.

Irakczyk zaśmiał się cicho.
— Widzi pan, to jest pustynia. To mówi wszystko.

— Mnie to nie mówi nic — zauważyłem sucho.

— Beduini koczują z miejsca na miejsce. W Safeth ten człowiek czekałby na karawanę, na swoich. Lecz Safeth już nie ma.

— Więc dlaczego nie zabraliśmy go do Ruthba. On przecież musi zginąć w tych warunkach.

Kupiec z Mossulu skrzywił się po-błażliwie.

— Ów człowiek nie jechał do Ruthba. Może w pustyni spotka swój szczer, a może śmierć.

Zamilkliśmy. Prymityw tego jednowymiarowego świata, gdzie wszystko jest tylko dalą, oładnął mną przemożnie. Gdy na widnokręgu dojrzy się karawanę, widzi się ją tylko przez chwilę jak maleje i niknie w bładym powietrzu. Jest to drobny fragment życia na olbrzymiej płaszczyźnie śmierci. Życie jest tu w defensywie, w ucieczce i nic nie znaczy wobec tego oceanu ciszy.

Każdy epizod ma tu identyczne zdanie końcowe: „The rest is silence”.

Arabski autobus nie jechał utartym szlakiem konwojów wojskowych. Jechał najkrótszą drogą według kursu karawan, omijając wszystkie wojskowe punkty zapobiegania. Benzynę i oliwę mieliśmy w 5 bańkach przymocowanych na dachu — w wodę zaopatrzaliśmy się w Habanii.

Dnia 24 grudnia 1942 r. o zmroku zatrzymaliśmy się na odpoczynek przed sporą lepianką arabską, wokół której rości kilka palm.

— Tu napijemy się wreszcie gorącej herbaty — odezwał się kupiec z Mossulu.

Lepianka przedzielona była płachtą na dwie połowy. W pierwszej izbie mieściła się „restauracja”, w drugiej kuchnia. Gospodarz — chudy, kościsty Arab z pięknym nożem zatkniętym za pas — przywitał się z nami, jak ze starymi znajomymi. Nie okazał żadnego specjalnego zainteresowania dla mojej osoby. Policzyl na palcach pasażerów i zniknął za kotarą.

Usiadłem na niskiej ławce i przysunąłem sobie jeszcze niższy stolicek, który składał się z metalowej tacy, wspartej na chwiejnym trójnogu. Naprzeciw mnie zajął miejsce kupiec z Mossulu. Obok poroziadali się na matach kupcy arabscy, którzy podróżowali z nami do Syrii, Transjordanii i Palestyny.

Pijąc gorącą aromatyczną herbatę z małych szklaneczek i zagryzając podpiłkiem maczanym w ostrym, szarym sosie — pomyślałem, że jeszcze nigdy tak nie spędzałem wigilii. Irakczyk milczał, pijąc namiętnie jedną szklaneczkę herbaty za drugą — kupcy arabscy jedli baraninę duszoną z ryżem. Kaganek zawieszony w górze rzucał ostry refleks na ich wyraziste, ciemne twarze, na błyszczące białka oczu, na lśniące tłuszczem potraw ręce. Siedzieli nieruchomi, jakby pozując niewidzialnemu sztycharzowi.

Byłem bardzo zmęczony. Sądzę, że człowiek, który wskoczyłby na ekran i zaczął brać udział w akcji wyświetlanego filmu — miałby podobne uczucie jak ja wówczas. Nie przynależałem do

tego obrazu, a przecież w nim tkwiłem, ba, stanowiłem jedną z jego oryginalnych postaci.

Spojrzałem przez uchylone nad wejściem płótno i dostrzegłem dalekie, południowe gwiazdy. Byłem więcej niż samotny, byłem po prostu całkowicie sam. Z pamięci wydobywać zacząłem dawne wigilie. Rekonstruowałem obraz każdego wigilijskiego wieczoru z tą pieczołowitością rozmówianego kolekcjonera, który pielęgnuje cenny oryginał, bo wie, że jest tylko jeden. Materializowały się wieczory gwiazdkowe — im bardziej wstecz, tym bardziej drogie, tym cenniejsze w swej kruchości.

W lepiance wszyscy drzemali. Narzuciłem płaszcz i wyszedłem w pustynię. Cisza leżała nieskazitelny, granatowym blokiem między księżycem a swym pustkowiem ładu. Noc na pustyni jest międzyplanetarna. Człowiek czuje, że ziemia jest jedną z gwiazd.

Nagle przystanąłem, jakby ktoś na mnie zawołał. Ogarnęło mnie wrażenie, że cały wieczór czekałem właśnie na tę chwilę. Przypomniałem sobie pewną wigilię — nie moją. Była to wigilia roku 1861. W dniu tym zmarł na emigracji we Francji dziadek mój Józef, powstaniec z roku 1831. W naszym domu w biurku matki przechowywany był plik jego listów. Zawsze w dzień wigilii patrzyliśmy w pożółkły dagerotyp, przedstawiający pana z bokobrodami a potem kłęcząc odmawialiśmy „Wieczne odpoczywanie”. Bardzo tego nabożeństwa nie lubiłem. Dom pełen był słodkich zapachów świątecznych, przez wszystkie pokoje szła jasność choinki i ten pogrzebony podziw wydawał mi się zgrzytem, o którym należało co prędzej zapomnieć.

Przez całe moje dzieciństwo powtarzała się ta ceremonia. Każdego roku liczyłem podświadomie, że matka zapomni o dziadku Józefie, ale nie zapominała nigdy. W wiele lat później dowiedziałem się, że dziad Józef zmarł samotnie w Romiers na chorobę, którą wówczas zwano „czarną melancholią”. Zmarł w sam dzień wigilii, o czym doniósł przyjaciel jego i towarzyszył pan Niewiadomski.

W moim domu już nigdy nie pusłem nastroju wigilijskiego żałobnymi wspominkami. Czasem, gdy wspominałem dzieciństwo, odczuwałem jakby wyrzut, że nawet raz w roku nie pomyślę o nim, co tak źle, tak niewystawienie smutno umierał owej zimy francuskiej 1861.

Na kilka lat przed wojną docent Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Janik odkrył w archiwum Muzeum Czartoryskich rękopis poematu mojego dziadka. Było to „poema” w XII Księgach zatytułowane: „Tułacz”

Tę dziwną wigilię w Ruthba poświęci-

łem pamięci dziadka. Odpokutowałem wszystkie dawne wigilie, których radości nie chciałem przystaniać cieniem losów żołnierza-tułacza.

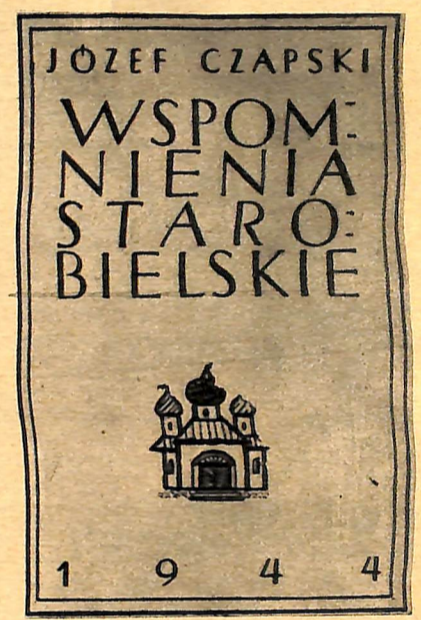
Trzeba było wielu lat, wojny i własnej tułaczki, aby ożyła treść słów tak dawno umarłych. Czasem ludzie umierają, aby żyć mogły słowa — idee w nich zamknięte. Patrząc w irackie gwiazdy przybliżyłem ku sobie, jak nigdy przedtem, zimę francuską.

Nie łatwo jest o tym pisać. Przez każdego z nas płyną dzieje. Są jednak chwile, gdy ów rytm jest mocniejszy, niż wszystko inne. Ów imperatyw idei dziedziczony z pokolenia w pokolenie jest tym, co nazywamy narodem.

Szedłem wolno pustynią i przypomniałem sobie fragmenty listów dziadka. To nie były już jego listy, ale moje zdania wypowiedziane pod rytm pamięci o nim. Czy mogłem pomylić się w czymś istotnym? Byliśmy przecież jedno. Ja żołnierzem tułaczem — jakim i on był. Powtarzałem słowa umarłe niemal przed wiekiem — jako moje, żywe, pełne treści i krwi. I to jest właśnie to, co w nas nie umiera. To jest Ta, co „nie zginęła”, chociaż my odchodzimy, ginimy.

Wysokopienna noc pustynna stała wokół wsparta o gwiazdy. Ja jednak myślałem o zimie francuskiej. Pojąłem prostotę konsekwencji i naturalną wydała mi się logika tego łańcucha, którego jedynymi z ogniw było francuskie Romiers i iracka Ruthba.

Noc wigilijska błędną. Ruthba była już daleko za nami, gdy zza horyzontu wynurzyło się cynobrowe słońce. Ktoś samotny nad pustynią.



Wśród ostatnich wydawnictw Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu pojawiła się książka Józefa Czapskiego pt.: „WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE”

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

SŁABOŚĆ I NIEKONSEKWENCJA

„THE ECONOMIST” interesuje się szczególnie sprawą Polski, co wyraża się w znacznej ilości artykułów, jakie na ten temat ukazują się w doskonałym piśmie londyńskim. Ostatnio „THE ECONOMIST” zajmuje się możliwościami udzielenia Polsce gwarancji. Anglia — tak pisze — nie mogłaby honorować gwarancji, udzielonej Polsce, a niezgodnionej z Rosją, czy zgoda przeciw Rosji skierowanej. Jednak nie gwarancja jest pierwszorzędna i najważniejsza, lecz pytanie, czy Polska będzie rzeczywiście niepodległa i suwerenna. „ECONOMIST” przyjmując, że w Teheranie premier Churchill i prezydent Roosevelt zaakceptowali linię Curzona, jako wschodnią granicę Polski, dowodzi:

„Jeśli tak jest, to można się trafnie zapytać, czy Polacy zostali uczciwie potraktowani przez zachodnich sojuszników. Po powrocie z Teheranu, czy premier i prezydent zawiadomili rząd polski o swej decyzji? Nic nie wskazuje, że uczynił to Roosevelt. Co do Churchilla, to wprowadził w przemówieniu z 22 lutego opowiedział się za linią Curzona, jako właściwą podstawą przyszłej granicy, ale dodał, że samo rozwiązanie powinno być odroczone do okresu po wojnie. Mało wskazuje na to, by Polakom specjalnie powiadomiono o teherańskiej decyzji, dopóki Churchill nie uczynił tego w swym ostatnim przemówieniu, w którym zganił rząd polski za niezastosowanie się do „rady, udzielonej mu na początku roku”. Jeśli ich nie powiadomiono, Po-

lacy zostali potraktowani najbardziej nieuczciwie”.

„THE ECONOMIST” godzi się ostatecznie z faktem dokonaniem teherańskiej decyzji, krytykując jednak stanowczo, że — „przyjęcie linii Curzona w Teheranie bez ustępstw i zmian było słabością i niekonsekwencją, było przedwczesne. Byłoby napewno bardziej rozsądne i sprawiedliwe, gdyby prezydent i premier podtrzymywali nadal polskorosyjski układ z roku 1941”.

Czasopismo angielskie trafnie ocenia działalność Komitetu Lubelskiego, jako narzędzia rosyjskiego, a popieranie go przez Sowietów nazywa — „złośliwym wtrącaniem się”. Jest już najwyższy czas, dowodzi „ECONOMIST” — by jednostronne ustępstwa zostały zrównoważone dobrą wolą i ustępstwami również ze strony Rosji. Kropką nad i całego artykułu jest jego zakończenie:

„Churchill był w stanie oznajmić Izbie Gmin, że angielsko-rosyjskie stosunki są obecnie bardziej ścisłe, zażyte i serdeczne, niż kiedykolwiek przedtem. Mogąc się z tego cieszyć, trzeba jednak zapytać się, dlaczego ta bliskość, zażyłość i serdeczność nie doprowadziła Rosjan do lepszego zrozumienia sprawy polskiej, od której rozwiązanie zależy ostatecznie wszelkie nadzieje na pokojowy i stały układ stosunków w Europie”.

SAMÉ MINUSY

„TRIBUNE” pod tytułem „Sowieci plus and minus” odnosi się bardzo krytycznie do polityki rosyjskiej, a czyni to z punktu widzenia socjalistycznego.

Plusem są wykazane w Rosji korzyści gospodarki socjalistycznej. Poza tym, same minusy. Powtórzmy je, w skrócie, za pismem londyńskim.

Rosja wygłasza opinie w sposób, przypominający raczej Piotra Wielkiego, niż Lenina. W Persji przytączyła się do imperialistycznej walki o naftę, zamiast popierać i nastawać na stworzenie międzynarodowej wspólnoty naftowej. Odmowa Rosji wzięcia udziału w konferencji lotnictwa cywilnego w Waszyngtonie wzmocnić musi opinie, że kwestionuje ona każdy układ europejski. To samo odnosi się do działalności delegacji sowieckiej na konferencji transportowej w Londynie. Wreszcie — odrzucenie szwajcarskiej oferty nawiązania stosunków z Rosją.

Obecna polityka rosyjska, której od powodzenia zawrócono się w głowie — wyraża swą opinię „TRIBUNE” — jest niebezpieczna, ponieważ wzmacnia wszędzie nastroje przeciworosyjskie. Według „TRIBUNE”, obecna Rosja nie chce konfliktu ze Sprzymierzonymi i jeśli Roosevelt lub Churchill zechcą się jej przeciwstawić, Stalin będzie musiał zastrzymać się i rozpocząć odwrót na poważną skalę, z ogólną szkodą dla lewicy w każdym kraju”.

W IMIĘ PRAWDZIWEJ DEMOKRACJI

Znany socjalista belgijski C. Huysmans, na łamach „TIME AND TIDE”, występując w imię prawdziwej demokracji stwierdza, że rząd nie może działać bez woli narodu. Nie wolno więc odawać ziem polskich bez odwołania się do decyzji całego narodu polskiego. Postępowanie takie byłoby szkodliwe nie tylko dla samej Polski, ale również i Rosji. Nie można też przenosić państwa jak wozu na kółkach i prze-

Ludzie pogranicza

To tylko było wyraźne: kamienie graniczne z napisem „Versailles 1919” i szlabany na szosach, tylko ta granica — między Polską a Niemcami. Tu znaczący paszporty i obowiązywała wypełniona w nich rubryka — narodowość, tu — nie tam, gdzie żywa, ciągle płynna, inna granicę wykreślały uczucia i uprzedzenia ludzkie, i krew od wieków mieszana. Granica formalna była linią sztucznie wykrejoną, tamta żywa obejmowała wielką przestrzeń i ludzi, żyjących w szczególnych warunkach ciągłego naporu i walki, miłości i nienawiści, skrzyżowanych, skłóconych i zbratanych w jednej rodzinie, w jednej grupie społecznej.

Pogranicze miało swe specyficzne życie i swój typ ludzi. — Ludzi najślabszych i najmocniejszych, ludzi jednej świadomości, a wywalczonych przez samego siebie narodowości lub podwójnej i zartej. Ludzi trudnych...

W Gdańsku przed wojną liczyliśmy przede wszystkim tony obrotu portowego i cyfry polskiej aktywności gospodarczej, mierzyliśmy też życie przy ujściu Wisły ilością zatargów i zadrażnień. To leżało na wierzchu, łatwo dostrzegalne, niewątpliwie bardzo cenne, ale wypracowane głównie żywiołami z zewnątrz przybyłymi. Głębiej nie wiele sięgaliśmy. Głębiej — do duszy tych ludzi, do charakteru całego pogranicza, tak odrębnego od reszty ziem polskich. Siegał obcy, bił w nie i zagarniał Niemiec, swą akcją planową i powszechną zyskując przewagę nad naszymi wysiłkami jednostek, — zagarniał, chociaż głos krwi po stronie polskiej był silniejszy. Jeśli rozwijał się bowiem proces powrotny, to niemal zawsze na rzecz polskości, niesłychanie rzadko odwrotnie. Drogę powrotu do domu znajdował zgermanizowany Polak, a nie spolonizowany Niemiec.

Liczyliśmy cyfry, mniej — zbyt mało dbając o ludzi, o dusze. A przecież Gdańsk był pograniczem, był najczulszym punktem na styku polsko-niemieckim, a od dawna — zbiornikiem sił ludzkich, z Polski obficie czerpiącym.

Obcym nie był mi nigdy. Obcym mógł być tylko dla Polaków, którzy panującej tu mowy niemieckiej chwycili się jako jedynego kryterium, którzy odstręczyli się dawali czerwieni i czerni flag hitlerowskich; obcość widzieli w nim także wszyscy, dla których ujście Wisły stanowiło teren zainteresowania jedynie gospodarczego. Słyszeli język niemiecki, dodawali cyfry, ale nie widzieli ludzi — walki o człowieka, toczony od lat nie tylko nad Wisłą, Motławą i Radunią, ale i w Kartuzach, Chojnicach, w Wyrzyskim i na prusko-wschodnim pograniczu.

Od Kaszub do Gdańska płynie Radunia, gdańskie ulice i uliczki ku Motławie prowadząc, pod wieżą Katarzynki i Młynem Krzyżackim, obok przygarbionych domków starej kaszubskiej dzielnicy. Zielone jej wody kiedyś spłynęły czerwienią krwi polskiej, przelanej przez Krzyżaków, którzy w 1309 roku wymordowali ludność miasta. Ale Gdańsk nie mógł obywać się bez miejscowego rezerwuaru lud-

nościowego. Krew polska z Kaszub spływała nadal do Gdańska, ludność słowiańska mieszała się z niemiecką, miasto mówiło równie po polsku, jak i po niemiecku. Dobrobyt związał je z Polską, wytworzył uczucia wdzięczności i wierności Rzeczypospolitej, rzeźbiąc je w murach i bramach, w odrzwiach siedzib patrycjatu. Sto kilkadziesiąt lat przynależności do Niemiec zostawiło ślady inne: zmieniło oblicze i duszę miasta. Nazwiska polskie, jakich jeszcze tyle na każdej ulicy, narosły treści niemiecką, słabł głos krwi, coraz bardziej mieszanej.

Rok 1919 wytyczając granicę polsko-niemiecką i wiążąc ponownie Gdańsk z Państwem Polskim, dała wielką szansę nam i ludziom tego pogranicza. Budzą się w nich zapomniane już echa dawnych czasów, lat dziecińczych, domu rodzicielskiego, często jeszcze polskiego, pojawiają się kalkulacje gospodarcze, odzywa się głos krwi — krwi polskiej. Szansa zostaje zmarnowana. Nasz odzew jest anemiczny, zbyt słaby i ograniczony względami na wszystkich i wszystko. Odzew bojaźliwy nie może być atrakcyjny. Ofensywa należy do tamtej, niemieckiej strony, bardziej dynamicznej i rozwijającej coraz więcej bezwzględnej walkę o pogranicze i jego ludzi. Używa wszelkich środków, wchodzi głębiej na nasz teren i zaciąga sieci. Z naszej strony jest jedynie obrona, nie zawsze skuteczna, jest kontrakcja, nigdy — akcja. W sumie może nie tracimy pozycję już pozyskanych, ludzi, mas — pewnych, zyskujemy czasem jednostki, ale nie zdobywamy dusz, tysięcy dusz, chwytających, niezdecydowanych, a łatwych do pozyskania, tych „braci dalekich a bliskich” z pogranicza. Nie zdobywamy, bo — nie idziemy na zdobycie!

Nie rozumieliśmy — nie jako jednostki, a jako społeczeństwo, czynniki kierownicze — pogranicza polsko-niemieckiego. Zmarnowaliśmy wiele lat i możliwości, zaczynając to pojmować niedługo przed wojną. To jest oskarżenie, samooskarżenie, ale równocześnie i wskazanie kierunku uderzenia po tej wojnie, ofensywy koniecznej a niełatwej.

Ludzie pogranicza... Różni od innych, istnieją rzeczywistości po obu stronach granicy. „Grenzlandschicksal” — los ziem pogranicznej nie jest wymysłem Niemców, choć zajmowali się nim daleko więcej od nas. Nie da się tego ująć w liczbę, nie starczy „mędrca szkiełko i oko”, trzeba jeszcze poczuć historycznego, wiary we własne siły i uczucia, które nie liczyłyby się z pozorami obcości języka, obyczajów i wychowania. Jak już powiedziałem, nie są to ludzie z jednej bryły. Nazwisko, paszport, rubryka na-

rodowości, język, obyczaj — często nie mają właściwego, normalnego pokrycia.

Wilhelm Mark jest stamtąd, z pogranicza. Życie jego — to historia opuszczenia domu ojczyźnego i fantastycznego, jak z bajki, powrotu. Tym domem jest Polska, wzgardzona i znów odzyskana. Domem utraconym jest własny dom — życie rodzinne, przegrane w tej walce o świadomość narodową, w szamotanii się między wiarą własną a nieufnością innych, w wiązaniu się z tym kompleksem niższości, jaki włożyli nań inni. Powrót do polskości okupiony zostaje pogrzebaniem życia osobistego i wyniesieniem nienawiści nad wszystkie uczucia, nienawiści do Niemców, a potem i do tych Polaków, w których wyczuł mógł najniższą pogardę do podobnych sobie ludzi granicy, nienawiści również do własnego ojca.

Wilhelm urodził się pod Malborkiem. Stary Mark nazywał się kiedyś Markowski, ale zawadzało mu to w karierze szkolnej. Przeniesiony już jako Józef Mark pod rodzinne Kartuzy, dochrapał się wreszcie tytułu „Schulrata” i cesarskiej emerytury, w której spokojnym konsumowaniu przeszkadzał jedynie krnąbrny Wiluś, mówiący w szkole po polsku i unikający towarzystwa syna „Landrata”. Wilhelm Mark nie mógł — jak pragnął tego ojciec — wyjść spod wpływu dalszej rodziny — dobrej polskiej rodziny. Dopiero przeniesienie do Gdańska, szkoła i czysto niemieckie otoczenie zrobiły z Wilusia gdańszczanina, myślącego i czującego po niemiecku. Już samodzielny, wciągnięty w niemieckie życie polityczne, utracił jednych, a nie pozyskał całkowicie drugich, nie wierzących mu i podśmiewających się często z tego „Wasserpollacke”. Wygnanie z Polski zdobył sobie jednak swój dom, żonę, uregulował życie. Zarabiał coraz więcej, miał wszystko. I nagle — powrócił do domu, do ojczyźnego domu.

Na pastercie w starym kościele kartuzkim, słuchając koled, których już nie rozumiał, a które pamiętał z czasów dzieciństwa, w kołających się wspomnieniach z tego tak innego życia dojrzał powrót Wilhelma do Polski. Zaczęło się to na owej pastercie, na rozmowach tego „odmieńca” z nieodmiennymi polskimi ciotkami, wujkami i kuzynkami, zaczęło się na lekturze polskich książek w niemieckim tłumaczeniu, a skończyło walką z tym wszystkim, co dawało mu życie, zarabiał, co stworzyło mu życie rodzinne. Rzucił wszystko.

Powrócił do Polski, w której znowu otacza go niewiara, nieufność, a często — pogarda, wiadomo: „niepewny”. Służy Polsce wiernie, znosi wiele. Nienawiść do Niemców, w których ręce ojciec zło-

żył jego życie, prowadzi Wilhelma zwycięsko przez ciężkie lata tej wojny, na przekór niedowierzaniu innych i własnemu, ciągle żywemu kompleksowi niższości. Nienawiść może być, w tym wypadku musi być twórcza. Na robotę Wilhelmowi czeka dzisiaj pogranicze, jak jeszcze nigdy.

Janek za to — jak nazywał go ojciec Polak — czy Hans — tak mówiła matka Niemka — nie wróci już nigdy do domu na skraju puszczy tucholskiej. Zamienił swe lasy na francuskie Wogezy i tam został na zawsze pod jednym z polskich krzyży żołnierskich. Póki był w Budapeszcie przychodził list za listem: od matki z metryką poświadczającą pochodzenie — „Volksdeutsch”, od sióstr, mówiących zawsze równie chętnie w obu językach i czujących przed wojną równie łatwo po polsku jak po niemiecku, od konsulatu Trzeciej Rzeszy — wszystko z zachętą i pokusą powrotu na Pomorze, noszące — już stempel „Gau Danzig-Westpreussen”. Prosiła też narzeczona, ładna rozkochana w nim Niemka, przekonywali dwaj najbliżsi kuzyni, którzy przesłali swe fotografie z widocznymi na mundurach krzyżami za kampanię polską. Jedynie ojciec, dobry słaby człowiek milczał — milczeniem wymownym.

Matce, którą bardzo kochał, Janek odpisał tylko raz — po polsku nie tylko w słowie, ale i w decyzji. Był tak mocny w swej polskości, jak chwytne, niepewne jego siostry. Zdecydował o swym losie bez wahania, bez chwili słabości, pełen wiary w to swoje najmłodsze, w szkole polskiej wyrosłe, pokolenie pomorskie. Mówił lepiej i może płynniej po niemiecku, niż po polsku, ale u niego, jak u innych tych ludzi, nic to nie znaczyło. Niemców nienawidził — on, wpłątany w przedwziewne zawikłany węzeł polsko-niemieckich pokrewieństw.

Takim uwielokrotnionym, skomplikowanym węzłem był Gdańsk. Rozwiązywanie sło zawsze bardzo opornie. Dzieci tych samych rodziców chodziły nieraz do różnych narodowościowo szkół — syn należał do Hitler-Jugend, córka do Związku Polaków. Ojciec był działaczem polskim, syn jego występował na masowkach hitlerowskich... Niemcy o nazwiskach polskich, Polacy z nazwiskami niemieckimi — wieża Babel, którą pięć lat wojny jeszcze powiększyło.

Wylczyliśmy tutaj świadomie ludzi pogranicza — mocnych, twardych, doprawdy przykładowych, aby tym większy był kontrast z masą ludności: zgębnionej, materialistycznie nastawionej, słabej. Opanowanej przez jednych — Niemców, opuszczonej przez drugich — Polaków, i rozdzielonej sztucznymi granicami. Trzeba zastąpić je żywymi, zagarnąć te masy, a z czasem zniknie i pogranicze typu dotychczasowego, niezdrowego.

Po wojnie zjawimy się znowu na starych ziemiach polskich, usuniemy z nich kamienie graniczne i wielką część wrogiej, zdecydowanie obcej ludności. Ale resztę trzeba zostawić, całą resztę o krwi polskiej, jeszcze żywej, choć nie ofiarnej; tych wszystkich, którzy żadną ofiarą nie chcieli świadczyć na rzecz Polski, z którą jednak w uczuciach, myślach czy instynktach czuli się związani. W Gdańsku na przykład były liczne tysiące takich właśnie ludzi, po wojnie wyjdą dalsze setki i tysiące nie tylko u ujścia Wisły. Rozwali się państwo niemieckie, zawali się mit jego potęgi i ładu, przekreślając kalkulacje również czysto ludzkie, na pieniądzu oparte. Tym bardziej wyrośnie Polska — nie będzie innej nadziei dla ludzi pogranicza. To będzie ich szansa, a jeszcze większa — dla nas.

Kiedy tam znowu wrócimy, musimy wejść w ulice Gdańska inaczej, niż po tamtej wojnie. Maszem mocnym, dynamicznym ludzi silnych, skłonnych do sprawiedliwości, ale gotowych na karę najbardziej surową. Uderzyć w obce, nieraz wiekowe pokłady i rozwalić je, musi nie tylko siła, ale i cierpliwa polityka, prowadzona przez ludzi, którzy znają dzieje tych ziem i rozumieją tragedię, upadki i wzloty ich ludności. Przestrzegając tolerancji obcego języka i zwyczajów, potrzebujemy pomocy pogranicza w odzyskaniu pewności i wiary we własne siły, uchronić ich od świadomości, że zmienili tylko pana i przydział.

Otworzymy żyłą krwi serdecznej, przecież polskiej. Zleje się z naszą. Zbyt wiele straciłszy w tej wojnie, by największej wagi nie przykładać do takiej transfuzji, która od nas jedynie zależy, od naszej postawy.

suwać na wschód lub zachód. Huysmans pisze: „W r. 1939 Rosja podpisała układ z Niemcami, dzielący Polskę między te dwa mocarstwa. Granice, które dziś są wysuwane, pokrywają się, jeśli chodzi o wschodnią część Polski, mniej więcej z tym podziałem. Czy nie jest to tragedią dla narodu, który tak bohatercko walczył na wszystkich frontach, by zraniono na zawsze jego uczucia oświadczeniem: w każdym wypadku przegraliście wojnę z Niemcami. Czy świat nie zdaje sobie sprawy, co oznacza dla Polaków utrata Lwowa?”

Autor ostrzega: wiara w demokrację i walka o wolność muszą być niepodzielne.

NIEMCY W OBOZACH JEŃCÓW

Korespondent „NEUE VOLKSZEITUNG”, dziennika niemieckiego w Stanach Zjednoczonych, zwiedził obozy kanadyjskie, w których umieszczeni są jeńcy niemieccy i ciekawymi spostrzeżeniami podzielił się z czytelnikami. Mimo doskonałych warunków życia i dużej swobody, jeńcy niemieccy odznaczają się rosnącą wciąż arogancją. Władze obozowe przyznają, że wszelkie próby wychowania tych Niemców i zmiany ich fanatyzmu całkowicie chybiły. Procent stuprocentowych hitlerowców jest bardzo wysoki. Działalność Gestapo również wśród jeńców istnieje nadal, traktowanie podejrzanych o kompromisowość towarzyszy jest najbardziej brutalne. Na tym tle zdarzają się nawet morderstwa.

Dziennik stwierdza, że tak jest — mimo o świetnych warunków, w jakich żyją jeńcy. My, znając dobrze Niemców, wiemy, że są tacy właśnie z powodu tych doskonałych warunków. Im bowiem tylko siła imponuje. Ciągłe

jeszcze nie rozumieją tego niektórzy Anglosasi.

ODWET W ANEGDOCIE

Korespondent szwajcarskiej „WELT-WOCHE”, pisząc o rozmowach, jakie przeprowadzał z Niemcami — przeciwnikami reżimu hitlerowskiego, podaje charakterystyczną opinię „dobrego” Niemca: „Tragiczne jest — oświadczył mi — że słuszność znajduje się w rzeczywistości po stronie Niemiec, niestety w jej imieniu nie walczą odpowiedni ludzie. Wszystkimi środkami przygotowano wojnę i zaznajomiono z nią naród. Ale bez najmniejszego pojęcia o dyplomacji przebijano głową ścianę, armia była wpędzana z jednej katastrofy w drugą, a z kazałnic politycznych krzewiono socjalizm, bez żadnych własnych zobowiązań”.

Mimo nalołów ludność Niemiec, również Berlina, wierzyła w szeroko reklamowaną „cudowną broń” odwetu. Ten odwet miał być lekarstwem i pocieszeniem. Ale naloły sojusznice stawały się coraz straszniejsze, a „odwet” był stale odkładany. Wreszcie „odwetem” zajął się dowcip ludowy, w obieg poszły niezliczone kawały. Próbką jest taka anegdota: dwaj bracia (postacie dowcipu ludowego w Nadrenii) Tunnjes i Schaal spotykają się w zniszczonej Kolonii. Tunnjes mówi do drugiego: „Co się dzieje z tobą? Nigdzie cię nie widać”. — Schaal: „Pracuję teraz przy odwecie”. — T.: „To bardzo ciekawe! Cóż wy tam robicie?”. — S.: „Bierzemy stare, 80-letnie drzewa, wydramy je, wypełniamy materiałem wybuchowym i wrzucamy do Kanatu. Płyną potem do Anglii i tam eksplodują”. — T.: „No, no, ale co ty tam robisz?”. — S.: „Ja — ja sadzę drzewa”.

BERLIN: SODOMA I GOMORA

Długo wydawało się berlinczykom, że nie spotka ich los innych miast niemieckich, leżących całkowicie w gruzach. Od jesieni 1943 roku ludność Berlina straciła jednak wszelkie nadzieje. 22 listopada rozpoczęła się seria najcięższych, niebываłych przedtem nalołów, seria trwająca nieprzerwanie do inwazji czerwcowej. Tę pierwszą gwałtowną burzę, jaka tej nocy rozpełtała się nad stolicą Niemiec, opisuje korespondent tygodnika „WELTWOCH” jako — „Sodomę i Gomorę”. Po wielogodzinnym naloście korespondent wychodzi ze schronu — w morze płomieni: „Dokota pality się wszystkie budynki. Kaiser-Wilhelm-Gedächtniskirche stał w płomieniach, Ufa-Palast koło Zoo jest już tylko mizerną kupą gruzów. Prędej, dalej! — przez Joachimstalerstrasse do Kurfuerstendamm. Musiałem się jednak zatrzymać i chwilę odpocząć... Biegłem znowu dalej, Humięk na sobie iskry, padające na płaszcz, na kapelusz. Jeden do drugiego krzyczał: „Uwaga! Ależ pan się pali!”... — dopiero później zauważając, że i na nim samym tli się już ubranie. Kawiarnia Josty paliła się od piwnic aż do dachu, górna część budynku była rozzerwana bombą kruszącą. Paliło się też na placu Praskim. — Samochód strażnicy pożarnej jechał wolno aleją, gruzami pokryta, i skręcił na ulicę Trautenau. Biegła za nim jakaś kobieta, krzycząc jak oszalała: „Chodźcie do mnie, tam można gasić, chodźcie, proszę, ach proszę, chodźcie! U mnie możecie jeszcze gasić”. Powiewała chusteczką, potknęła się o gruzy, upadła na bruk. Nikt się za nią nie obejrzał”.

Tak zamierał Berlin, stolica Niemiec. (t)



KUJAWIAK PO ANGIELSKU

Chwile wolne od ciężkiej, niebezpiecznej służby lotnicy polscy w Anglii uprzyjemniają sobie w sposób, który — jak widzimy na fotografiach — podoba się również partnerkom, angielskim „pestkom” (WAAF). Na takich

lekcjach tańca — krakowiaka, mazura, kujawiaka — dobierają się zespoły taneczne, które występują na przedstawieniach w obozach Wojsk Sprzymierzonych, dobierają się też przyjaźnie angielsko-polskie i... małżeństwa.



Str. 3, 4 i 5: fot. Szumański
 Str. 4, 7 i 8: fot. Chruściel
 Str. 9: fot. J. Fuks
 Str. 10 i 11: fot. U. S. Office of War Information
 Str. 12: fot. Szumański
 Str. 13: fot. „Parade”
 Str. 14: fot. inż. W. Ostrowski
 Str. 15: fot. Polska Y. M. C. A.
 Str. 18: fot. „Illustrated”
 Str. 20 — „Kolęda Warszawska”
 rys. J. Młodnicki

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI

KOLEDA

Mysłał wczoraj coś Pan Bóg, z zasepionem czołem,
A potem się zamknęli z wielkim Archaniołem
I w największym sekrecie coś radzili o świecie:
Archanioł wracał z nieba z obliczem wesolem.

Pyta więc Archanioła ten i ów z aniołów:
„Zali może Bóg ruszy po gwiazdy na połów?
Może nowe zakwitną oceany błękitno
Albo nowe Karpaty wydzwigniemy z dotów?”

Archanioł długo milczał, nic im nie chciał gadać,
Jeno kazał fernalom sześć koni zakładać,
I pomknęli po szosie, rankiem szarym po rosie,
Zadudniło aż gwiazdy jęły z nieba spadać.

Wieżć się kazał Archanioł o milkę do wioski,
Przed dworem, przed bielonym stanął Matki Boskiej,
Patrzy w okno komnaty: w oknie kwiaty i kwiaty!
Matka Boska przy krosnach haftuje bez troski.

Stanął we drzwiach i rzeknie głośno: „Pochwalony!
Witaj cudna Waćpanno! Z górnej idę strony
Wielka Tobie nowina! Będziesz Panno mieć syna!
Bóg każe Ci Królową polskiej być Korony”.

Upuściła Panienska haft, zmieszana srodze,
Archanioł pomógł usiąść na krześle niebodze.
Srebrnem skrzydłem jej skronie dla ochłody owionie,
A Panna dała stódkim tżom radości wodze.

Święty Józef chciał gościa prosić na kusztyczek,
Na miód stary, z rodowych wyjęty piwniczek,
I mówi o splendorze: „Gość taki w biednym dworze!”
Panna szyje pieluszki z bielutkich spódniczek.

Rano Pan Bóg jej postać peret pełną skrzynię,
Na dwór dać Chrystusowi kazał ochmistrzynię.
Matka Boska gieżłeczko szyje złotą igłeczką
I śpiewa Chrystusowi: „Płynie Wisła, płynie”.



Borowski — Litografia



Skoczylas — Drzeworyt

ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI

POLSKA

Idzie bosa Matka Boska,
dwie kobiałki niesie
ścieżką, którą ludzka troska
wydeptała w lesie.

A za lasem, jak zapaska,
leży strojne pole...
Przestrzeń, bracie, taka płaska,
gruszom jak na stole.

Chtëpi rolę szyją pługiem —
kieckę kolorową,
a za nudą, a za smugiem
jest łaciato krowom.

Cóż ci dodam... dym nad wioską,
wrony i piosenkę...
Korni chłopi Matkę Boską
już cmokają w rękę.

Zabocianit dzwon w kościele,
budząc modły zgrzebne...
...Może tego i niewiele,
Ale nam potrzebne.



Bartłomiejczyk — Drzeworyt

STANISŁAW BALIŃSKI

KOLEDA WARSZAWSKA

O Marjo, odtóż Dzień Narodzenia
Na inny czas,
Niechaj nie widzą oczy Stworzenia,
Jak gnębią nas.

Niechaj się rodzi Syn najmilszy
Wśród stódszych gwiazd,
Ale nie u nas, nie w najsmutniejszym
Ze wszystkich miast.

Bo w naszym mieście, które pamiętasz
Z dawniejszych dni,
Krzyże wyrosły, krzyże i cmentarz,
Świeży od krwi.

Bo nasze dzieci pod szrapnelami
Padły bez tchu.
O święta Marjo, módl się za nami,
Lecz nie chodź tu.

A jeśli chcesz Go narodzić w cieniu
Warszawskich zgliszcz,
To lepiej zaraz po Narodzeniu
Rzuć Go na krzyż.

